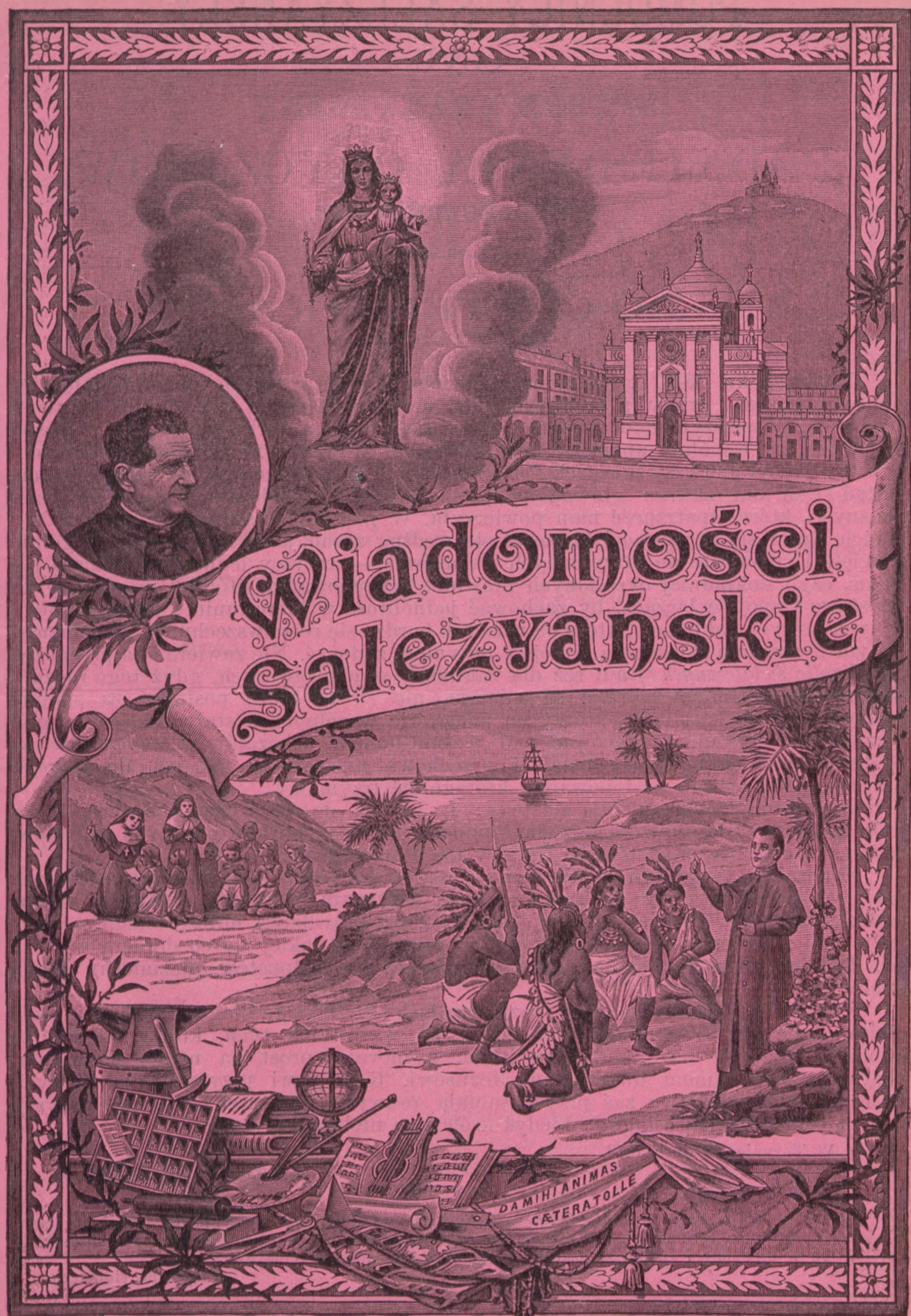
N. 8. Rocznik VI. Sierpień 1902



Turyn — Drukarnia Salezyańska — Turyn.

POMOCNICY SALEZYAŃSCY

czyli

SPOSÓB PRAKTYCZNY

PODNIESIENIA OBYCZAJÓW

W SPOŁECZEŃSTWIE.

DO CZYTELNIKA.

Już w roku 1841, gdyśmy w niedziele i święta zaczęli nauczać młodzież opuszczoną zasad wiary i odprawiać dla niej nabożeństwa w osobnych ku temu kaplicach, pospieszyło nam w pomoc kilku pobożnych a gorliwych kapłanów i osób świeckich, by wspólnie uprawiać niwę, która już wówczas nader obfity plon obiecywała. To był pierwszy zawiązek *Pomocników* czyli Współpracowników salezyańskich. Odtąd byli oni zawsze główną podporą naszych zakładów i wszystkich dzieł zbożnych, które Opatrzność nam powierzyła. W początkach swojego zawodu każdy z nich starał się pracować i kierował się według zasad, jakie były wówczas ogólnie przyjęte i stósownie do otrzymanych wskazówek, — wszyscy jednakże domagali się *ustaw*, czyli dokładniej określonych prawideł postępowania, któreby im służyły za podstawę i spójnię łączącą, by zachować jednolitość w kierowaniu i jednego ducha w tych nowych zakładach, które od razu tak bardzo się rozpowszechniły. Mniemamy, iż tym życzeniom książeczką niniejszą uczynimy zadosyć. Nie zawiera ona przepisów dla *Kaplic świątecznych* *) ani też dla zakładów wychowawczych, gdyż tego rodzaju wskazówki na innem zebrane są miejscu, ale za to może posłużyć za spójnię jednoczącą tych katolików, którzy na podstawie wspólnych a stałych zasad pragną łącznie ze Salezyanami pracować nad podniesieniem obyczajów w społeczeństwie. W ten sposób najlepiej się ustali i przechowa niezmienny tak cel, do którego dążymy, jak i sposób postępowania, którego się trzymamy.

W książeczce tej znajduje się tedy: 1. Prośba do Ojca Św. i Brewe, mocą którego Jego Świątobliwość udziela Pomocnikom salezyańskim osobnych odpustów. 2. Wykaz onychże odpustów. 3. Ustawy dla Pomocników.

Naucza św. Augustyn: *Przyczyniając się do zbawienia duszy bliźniego, tem samem swoją własną ubezpieczasz na żywot wieczny.* **Animam salvasti, animam tuam praedestinasti.** Wszyscy ci więc, którzy okażą prawdziwą miłość bliźniego, pracując nad zbawieniem jego duszy, oprócz nagrody, o jakiej się co dopiero wyraził św. Doktor, zaskarbią sobie nadto za pomocą św. odpustów niezmierny zasób duchowy.

Niechaj Bóg Wszechmogący, rozdawca łask i wszelkiego błogosławieństwa, zleje obfite zdroje swych skarbów niebieskich na wszystkich tych, którzy wspierając młodzież narażoną na niebezpieczeństwa, a nawet wprost na utratę zbawienia, pozyskują tem samem dusze Panu Jezusowi, Kościołowi przygotowują dobrych wiernych, społeczeństwu zaś przysposabiają prawych obywateli. Obyśmy wszyscy w tym celu pracując osiągnęli kiedyś królestwo niebieskie. Amen.

W Turynie, 12 lipca 1876.

Ksiądz JAN BOSKO.

*) *Kaplicą świąteczną* (po włosku *Oratorio festivo*) nazywa się w Zgromadzeniu salezyańskiem jemuż właściwe, a przez założyciela jego, X. Jana Bosko, najpierw w użycie wprowadzone połączenie nauki katechizmu w niedziele i święta ze szkółką niedzielną i różnemi rozrywkami.

Przypisek tłómacza.




WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

Wychodzą w językach. *włoskim, francuskim, hiszpańskim. angielskim, niemieckim i polskim*
Pomocnikom salezyańskim posyłają się **bezpłatnie.**— *Adres* · TURYN, Via Cottolengo 32, ITALIA.

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (MAT. XVIII. 5)

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież: starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX.)

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. LEON XIII)

ROCZNIK VI. Nr. 8. Wychodzą co miesiąc. **SIERPIEŃ 1902.**

OREMUS PRO PONTIFICE NOSTRO LEONE XIII.

Dominus conservet eum et vivificet eum et beatum faciat eum in terris et non tradat eum in animam inimicorum eius.

MÓDLMY SIĘ ZA PAPIEŻA NASZEGO LEONA XIII.

Niech go Bóg zachowuje, wzmacnia go, niech go uczyni błogosławionym na ziemi i niech go nie podaje w moc nieprzyjaciół jego.

TREŚĆ:

Ksiądz Bosko a Wychowanie.

CZĘŚĆ DRUGA.

Wykształcenie religijne i moralne.

(*Ciąg dalszy*).

III.

Śpiew kościelny.

Ks. Bosko wymaga, by w domach jego zachowywano bardzo ściśle ceremonie kościelne tak, żeby do duszy dziecka wnosiły światło i zbudowanie. Nie mniejszą wagę przywięzuje on do śpiewu kościelnego.

Śpiew jest rytmicznie modulowanym wyrazem uczuć serca. Nawet do początków nauki dorabiają się melodye dla snadniejszego wbicia ich w umysł i pamięć. Śpiew jest główną częścią kultu zewnętrznego i Bóg przepisał go w starym zakonie. Przed arką śpiewano pieśni Mojżesza, a w późniejszej świątyni psalmy dawidowe. Wszystkie ludy śpiewały w uroczystościach religijnych. Kościół od samego początku swego istnienia zajmował się śpiewem ze staranną troskliwością. Paweł Silas śpiewał w więzieniu w Filippach, a ich

apostolskie śpiewy przedłużały się w katakombach rzymskich. Chrześcijanie na początku drugiego wieku śpiewali w kaplicach Bitynii hymn na cześć Chrystusa Pana, o czem nas poucza list Pliniusza Młodszego do cesarza Trajana. Wiemy, że św. Ambroży w IV wieku ułożył mnóstwo hymnów liturgicznych, a papież Damazy gorliwą zwrócił uwagę na sposób śpiewania psalmów w kościele. Atoli najznakomitszym mistrzem śpiewu kościelnego był św. Grzegórz Wielki (w VI wieku): od niego śpiew kościelny śpiewem gregoryańskim nazwany został.

Z jakiego źródła czerpał Grzegórz św. te melodye i śpiewy? Jedni utrzymują, że przejął się muzyką Greków, inni że muzyką Hebrajczyków. Prawdopodobnie czerpał z obu tych źródeł, zaglądając też do tradycyi łacińskiej, mianowicie do ambrozyańskiej. Niezależnie wszakże od myśli genialnych, jakie powstały w mężu niespopolitej wielkości, w wielkim doktorze i świętym, niektórzy badacze posuwają rzecz dalej i w uwielbieniu dla śpiewu gregoryańskiego utrzymują, że jego początek wypływa z samego nieba, że w pracy nad muzyką kościelną Wielki Papież doznał szczególniejszej pomocy Ducha św.

Śpiew gregoryański długie czasy zaniedbany i wzgardzony, jako muzyka średniowieczna, dzisiaj został przywrócony na dawne stanowisko i jest podziwiany przez największych artystów. Ks. Bosko posługuje się nim jako czynnikiem wychowawczym i dlatego śpiew ten stał się przedmiotem jego troskliwości.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że słowo śpiewane nadaje moc uczuciom, jakich doznajemy, i przelewa je do duszy słuchaczy. Dlatego śpiew kościelny jest czynnikiem wychowawczym, bo rozwija uczucia religijne, pobudza do zamiłowania rzeczy świętych, Boga i cnoty. Dzieci, które podczas nabożeństwa śpiewają w kościele, przywięzują się do tej pieśni i uświęcają się.

Jak wielu świętych, ks. Bosko miał ducha artystycznego, kochał muzykę i zaprowadził ją w swoich domach. Muzykę instrumentalną przeznaczył głównie dla rzemieślników a śpiew dla studentów. Za czasów ks. Bosko śpiewano Msze św. z towarzyszeniem orkiestry, co się jeszcze i dziś w uroczyściejsze święta przytrafia. Śpiewy o Najśw. Sakramencie są piękne, urozmaicone i dobrze wykonane a wieczorne błogosławieństwo jak najuroczyściejsze. Codziennie podczas Mszy św., a mianowicie podczas Komunii św., wychowańcy śpiewają po łacinie albo w języku krajowym, a pacierz wieczorny zaczyna się zawsze od zwrotki pieśni pobożnej.

Nauka i wykonanie śpiewu to przedewszystkiem zadanie młodzieży oddanej naukom, gdyż ks. Bosko, wielki opiekun powołań kapłańskich, wiedział, że dzieci śpiewające w kościele nabierają zamiłowania obrzędów świętych i bezwiednie uprawiają powołanie kapłańskie w duszy. Co do śpiewu gregoryańskiego, ks. Bosko chce, żeby się w nim ćwiczyli tak rzemieślnicy, jak studenci, by po wyjściu z domów salezyańskich mogli śpiewać po kościołach parafialnych. Myśl tę często powtarzał dzieciom swoim, które przechowały ją jako drogocenne dziedzictwo. W uchwałach kapitularnych czytamy rozdział p. t. *Śpiew gregoryański i muzyka*, który podaje następujące, ściśle określone przepisy:

„Dyrektorowie starać się będą, by w ich domach uprawiano śpiew gregoryański, podług stale przyjętych i pewnych zasad. Takie było życzenie ks. Bosko, który często powtarzał, że jest naszym obowiązkiem dostarczać parafiom, w osobie naszych wychowanków, pobożnych i biegłych śpiewaków, których brak i potrzebę coraz więcej odczuwamy, a których współudział nadaje wspaniałość obrzędom kościelnym, a wiernych w kościele zebranych przejmuje myślami i uczuciami godnemi świętego miejsca.

„Niech dyrektorowie pamiętają zawsze na życzenie Najwyższego Pasterza Piusa IX, temi słowy wyrażone: „Śpiew gregoryański wielce dopomoże do utrzymania i rozszerzania pobożności i ducha modlitwy, mianowicie gdzie liczba śpiewaków dozwoli utworzyć dwa chóry“.

„Kilku członków naszego Towarzystwa w Rzymie i w innych najwyżej cenionych zakładach badać będzie prawdziwy typ i wszystkie prawidła śpiewu gregoryańskiego, by z czasem utworzyć podręcznik dla naszych domów.

„O te prawidła oprzeć należy szkoły śpiewu gregoryańskiego w nowicyatach i w studentatach. Szkoły te powinny nie tylko być wzorem dla wszystkich innych, lecz zarazem wytwarzać dobrych profesorów. Dla wzniecenia zapału w profesorach i uczniach, usta

nowiono, że program rocznego egzaminu szkolnego obejmuje także śpiew kościelny.

„We wszystkich domach zaprowadzi się dla braci Salezyanów jak i dla wychowańców lekcyę śpiewu gregoryańskigo. We wszystkich obrzędach, gdziekolwiek wchodzi śpiew kościelny, wykonywać go należy z całą ścisłością i powagą, jakich Kościół wymaga.

„Wszystkim domom, a szczególnie tym, co posiadają kościół publiczny, dostarczy się zręcznych organistów i nauczycieli śpiewu, którzy się wyuczą dokładnie obrzędów świętych, by mogli pracować zgodnie z istotą i celem muzyki kościelnej."

Do tej pory nie całe Włochy poszły za prądem zwracającym wiernych do śpiewu



Odwiedziny X. Albera w Nietheroy (Brazylia).

„Co do muzyki, całe zgromadzenie pragnie jednomyślnie, żeby była poważna, pobożna, łatwa i we wszystkiem zgodna z przepisami Kościoła. Salezyanie i pod tym względem, jak pod każdym innym, ulegać będą rozporządzeniom Najwyższego Pasterza i będą skorzy do spełnienia jego rad i życzeń, aby stosując się do prawideł przez Niego wskazanych, byli przykładem dla innych wiernych. W tym celu będą wydane i rozesłane do wszystkich domów przepisy rytuału, tyczące się muzyki, i zatwierdzone przez Jego Świątobliwość Leona XIII rozporządzenia Kongregacyi Obrządków z dnia 24 września 1884 oraz z dnia 6 lipca 1894.

gregoryańskiego. Ks. Bosko zatem, zalecając naukę śpiewu kościelnego w sposób wyżej wzmiankowany, wyprzedził o kilkadziesiąt lat swój czas i swój kraj. Dzięki szczęśliwym okolicznościom, domy francuskie górują w tym względzie nad rodzinnymi domami włoskimi. Przed szesnastu mniej więcej laty przybył do Marsylii, jako nauczyciel śpiewu kościelnego, ks. Jan Grosso, mąż którego sława już dobrze ustalona. Wszedłszy w stosunki z Benedyktynami z Solesmes, posiadającymi dom pod Marsylią, zachwycony został odrazu ich mistrzowskiem wykonywaniem śpiewu gregoryańskiego. Ks. Grosso stał się uczniem ks. Pottiera i przyjął jego metodę. Wystąpił z nią

w dużym kościele św. Józefa w Marsylii i niebawem w podziw wprawił parafię a następnie całe miasto.

Ks. Grosso i jego chór wezwany został do wykonania śpiewów gregoryańskich przy poświęceniu nowej katedry w Marsylii, a później z powodu takiej samej okoliczności wystąpił w kościele Serca Jezusowego w Rzymie. Śpiew ten z domu marsylijskiego przeszedł do innych domów salezyańskich we Francyi, szerząc metodę Benedyktynów w Solesmes, która po dziś dzień zdaje się być najbardziej zbliżona do wielkich tradycyi gregoryańskich.

Ufajmy, że ruch ten rozciągnie się do wszystkich domów salezyańskich, a tak spełni się życzenie Czcigodnego naszego Założyciela: „W całem Zgromadzeniu będą zawsze uczyli śpiewu kościelnego i wykonywać go będą według najlepszych metod, na chwałę Boga, uświęcenie dzieci i zbudowanie ludu chrześcijańskiego.”

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

REPREZENTANT NAJPRZEW. X. MICHAŁA RUA
w Ameryce.

(Pokłosie z listów X. Calogero Gusmano).

(*Ciąg dalszy*).

Gdyby w Brazylii była sieć kolejowa tak gęsta jak u nas w Europie, bylibyśmy mogli odbyć naszą podróż z Cuyabà do S. Paolo w bardzo krótkim czasie, ale właśnie dla braku dostatecznego rozgałęzienia kolei żelaznych musieliśmy płynąć kilku rzekami, wrócić do Paraguaju, do Argentyny, zboczyć do Montevideo, a nawet puścić się na Atlantyk, aby się dostać do malutkiego portu *di Santos*, odległego tylko o 3 godziny drogi koleją od S. Paolo.

Była to podróż wcale nieprzyjemna; nie można jednak powiedzieć, żebyśmy w ciągu całej podróży mieli tylko same dolegliwości do znoszenia; owszem mieliśmy kilka chwil wesołych, które nam słodziły nieprzyjemności długiej podróży; były to chwile powitania naszych współbraci z Rosario, Santa Fé i Buenos Aires. Do Montevideo nie mogliśmy się pokazać, ponieważ niebywały dekret wydany w tych dniach, zabrania jak najsurowiej wstępu do stolicy rzeczypospolitej uruguajskiej każdemu, kto tylko ma na sobie oznakę stanu duchownego, a najświętszym obowiązkiem tamecznych urzędników jest mieć baczne oko, aby przypadkiem nie wpuścić do miasta jakiego przebranego księdza. Zdarzyło się, że jakiś poczciwy szewczyna z Puntarenas chciał wejść do Montevideo; ale ponieważ biedak, upośledzony od natury, nie miał zarostu, jakiś gorliwy urzędnik przytrzymał go, mając go w podejrzeniu, że jest przebranym księdzem. Na nic były wszelkie tłómaczenia się; postanowiono nie wpuścić go do miasta. Ale wtedy w samą porę przyszła szewcowi szczęśliwa myśl: pokazuje urzędnikowi swe zasmolone i pełne odgniotków ręce i pyta go, czy i to jest oznaką księdza. Wobec takiego jasnego dowodu, urzędnik musiał ustąpić, i pozwolić poczciwemu szewcowi wejść do miasta. Z nami atoli obeszli się dość grzecznie, pozwalając nam przy powrocie z Brazylii zatrzymać się w naszem kolegium przez 8 dni.

***

W drodze z Corrientes do Buenos Aires płynęliśmy w towarzystwie dość licznego wojska, które ściągano z Chaco do stolicy, aby w niej uśmierzyć rozruchy, wywołane wydaniem nowej ustawy finansowej, której ludność stolicy nie chciała przyjąć. Biedni żołnierze! pomimo że szli tłumić rozruchy ludowe, mieli twarze pogodne, a nawet rozpromienione od radości. Jeden z nich opowiadał mi co następuje: „Przez całe 2 lata byliśmy w Chaco zupełnie zapomniani, wystawieni na pociski nie tylko Indyan, ale i zabójczego klimatu, i wszelkiego rodzaju trudności, a sami niczego

nie mogliśmy dokazać. Indyanie nigdy w życiu nie porozumieją się z wojskiem, ponieważ zanadto się boją karabina, a tymczasem swojemi zasadzkami i niespodziewanymi napadami poprostu nas dziesiątkują, a my nic im zrobić nie możemy, ponieważ po dokonanym napadzie chronią się w niedostępnych gęstwinach leśnych, dokąd oddział wojska naturalnie przedrzeć się nie może. Nadto przychodzi w pomoc Indyanom zabójczy dla nas klimat.“ Zwracając się zaś do Ks. Albery, rzekł: „Teraz Ksiądz Dobrodziej łatwo zrozumie, że takie położenie żołnierza popycha go nieraz do czynów, które w oczach ludzi, nie mających wyobrażenia o niedoli naszej, uchodzą poprostu za zbrodnię; ale my nie jesteśmy temu winni, bo w takiem położeniu, jak nasze, żołnierz traci, że tak powiem, głowę. Ja jestem święcie przekonany, ciągnął dalej ów oficer, że tam potrzeba nie naszych mundurów, ale waszych czarnych sukien; wybyście sobie z pewnością prędzej dali radę z tymi zawziętymi Indyanami....“ Tak więc ów oficer, nie wiedząc o tem, powtórzył te same słowa, które niegdyś Valdiva pisał z Arauco do Filipa II^{go}, króla hiszpańskiego: „Ani wasi żołnierze uzbrojeni w szpady i piki, ani wasze armaty nie mogą ucywilizować biednych Indyan. Weźcie sobie wasze wojsko, a przyszlijcie nam zamiast niego gorliwych misyonarzy, a zobaczycie, że w krótkim czasie cały kraj się nawróci do wiary Chrystusowej i będzie słuchał praw waszych.“



Gdy teraz jesteśmy w Brazylii, i patrzymy na to, co się tu dzieje przekonywamy się tem lepiej o prawdziwości powyższych słów. Historya podaje setki wypadków misyonarzy udających się do nieszczęśliwych Indyan, którzy łagodnością i uprzejmością swoją wywierali na nich taki wpływ, że ci opuszczali swoje dotychczasowe kryjówki, a rozbijali swoje namioty około krzyża lub kapliczki wzniesionej przez misyonarza. Ten potem wpajał w ich serca zasady Ewangelii św. i pozyskiwał ich dla Boga i społeczeństwa. W ten sposób powstało wiele miast brazylijskich cieszących się dzisiaj bogactwem i dobrobytem. Około skromnego mieszkania misyonarza grupowali się Indyanie; on ich nawracał, uszlachetniał ich obyczaje; wraz z nimi karczował las naokoło, wznosił domki i kościółki, i tak powoli powstawały miasta. Największą zasługę na tem polu położyli niezaprzeczenie OO. Jezuici. Imię Jezuity jeszcze podziś dzień, tutejsze pokolenia wspominają ze czcią.

Nieszczęsna wojna, niosąca ze sobą zagładę Indyan, obracała w perzynę kolonie brazylijskie: Olinda, Spirito Santo i Porto Segure, a wtedy pojawili się dwaj mężowie, którzy się nie wahali szukać Indyan po niedostępnych puszczach, wchodzić do ich nędznych szałasów i wpajać w serca tych strach na około siebie siejących synów puszczy, nieznane im dotąd uczucia miłości, pojednania i pokoju. Mężowie ci niczem się nie zrażali, bo mieli przed oczyma z jednej strony zbawienie nieszczęśliwych Indyan, a z drugiej strony ocalenie kolonii i osad europejskich. Bohaterami tymi byli dwaj Jezuici: Anchieta i Nobrego, których imię zapisane złotemi literami w historyi Brazylii przetrwa całe wieki. Gdyby nie Jezuici, Portugalia byłaby utraciła najlepsze kolonie na nowym kontynencie, na które Francya chciwem okiem spoglądała. Nieszczęśliwi Indyanie widzieli w tych dwóch mężach jakieś istoty nadziemskie, zesłane im od Boga dla pociechy i osłody klęsk, jakie im przyniosło obcopanowanie. Niema się więc czemu dziwić, że Jezuici przyprowadzili do porozumienia się pomiędzy Indyanami a Europejczykami, i że pierwsi zawsze się do nich z ufnością uciekali, gdy im jakaś nowa klęska zagrażała. Ale przecież w imię cywilizacyi Pombal wypędził Jezuitów z Brazylii! Usunięto Jezuitów, ponieważ oni tamowali postęp cywilizacyi! A jakież postępy zrobiła ta cywilizacya po wypędzeniu Jezuitów? Misye opuszczone, kościoły leżą w gruzach, zniknęły z widowni świata liczne szczepy Indyan, a te które pozostały, wróciły do dawnego sposobu życia, do pierwotnej dzikości, jednem słowem: królestwo szatana stanęło tam, gdzie panował krzyż, mord i pożoga zajęły miejsce pokoju i miłości. Oto cywilizacya, którą przyniósł ukaz *prémierministra* portugalskiego! Rok wypędzenia Jezuitów 1790 należy bezwątpienia do najsmutniejszych w historyi Brazylijskiej.

Czternastego lipca w samo południe przybiliśmy do Portu Santos. Była to niedziela. Santos jest jednym z najdogodniejszych portów brazylijskich. Szereg wzgórz pokrytych bujną roślinnością, znaczy początek pasma górskiego

Sierra do Mar. Okolica bardzo urocza. Ks. Albera i jego towarzysz z utęsknieniem rozglądali się, czy nie zobaczą jakiego kościółka, którego, znajdując się na wodzie, przez kilka dni nie widzieli; pragnęli oni pomodlić się gorąco do Serca Zbawiciela i podziękować mu za szczęśliwie odbytą podróż. I Pan Jezus spełnił gorące ich życzenia: Rozglądając się bowiem w około, spotrzegliśmy na stoku góry, chroniącej Santos od wichrów, małą kapliczkę. Natychmiast zwrociliśmy nasze kroki w tę stronę, ale nie dotarliśmy do samej kapliczki, ponieważ niedaleko od niej znajdował się kościół parafialny. Tam więc zatrzymaliśmy się, a ks. Albera spędził długi czas przed Przenajśw. Sakramentem. Dopiero zawiadomienie, że nasi współbracia: X. Peretto, przełożony naszych zakładów w Południowej Brazylii, wraz z dwoma towarzyszami nas szukają, przerwało księdzu Albera błogie rozmyślanie. Dalszą podróż do S. Paolo odbyliśmy już lądem; pociąg jechał prawie 3 godziny, a nam ten czas tak prędko upłynął, że aniśmy się spostrzegli, jakeśmy stanęli w S. Paolo. Pociąg idzie wciąż pod górę, wśród uroczych wzgórz, pokrytych samemi plantacyami kawy. Zdawaćby się mogło, że w obec takiego produktu samej kawy, stosunki finansowe Brazylii świetnie się muszą przedstawiać, a tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie. Baron Arraras powiadał nam, że choćby było trzy razy tyle produktu kawowego, ile go jest, to jeszcze nie byłoby takiego dochodu, jak po inne lata, a to ponieważ kawa straciła ogromnie na wartości z tego jedynie powodu, że ją prawie każdy uprawia, kto tylko ma kawałek ziemi.

W samo południe stanęliśmy w S. Paolo. Jest to śliczne miasto, nie różniące się niczem od naszych miast europejskich. Położone na wzgórzu, wzrasta zadziwiająco prawie z każdym dniem. Kiedy w r. 1886 nasi współbracia przybyli tam po raz pierwszy, S. Paolo liczyło tylko 80.000, a dzisiaj ma blizko 300.000 mieszkanców. Miejsce, gdzie stoi nasze kolegium, było poza miastem, a dzisiaj jest jednym z głównych punktów miasta. W historyi Brazylii S. Paolo odgrywało zawsze ważną rolę, a wielu chciałoby, żeby było stolicą rzeczypospolitej dlatego, że już teraz przoduje wszystkim miastom pod względem oświaty i moralności.

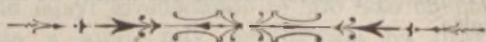
Na dworcu oczekiwali księdza Alberę ks. dyrektor wraz z innymi współbraćmi; przed kolegium stali uszykowani w szeregi nasi wychowankowie. Na czele tego, że tak rzeknę, salezyańskiego wojska stała kapela zakładowa z nauczycielami i kierownikami domu. W sali przyjęcia czekali na ks. Alberę J. E. ks. biskup Neri, p. radca Duarte, oraz wielu pomocników i przyjaciół salezyańskich. Zanim jednak wprowadzę czytelnika do samego zakładu, o którym tuszę, że stanie się kiedyś pierwszym co do rozmiarów zakładem salezyańskim w Południowej Ameryce, jeżeli tylko Salezyanie pójdą wiernie za wskazówkami Opatrzności, a przezacni pomocnicy salezyańscy w Brazylii będą ich jak dotąd z całego serca wspierali — pragnę podać kilka szczegółów o stanie tego zakładu, a nie mogę się z tego lepiej wywiązać, jak przytaczając dosłownie to, co o nim pisało czasopismo *La Civiltà Cattolica* w r. 1895. Czytamy tam co następuje: „Rzemieślniczy zakład salezyański, wzniesiony przed dziesięciu laty dzięki ofiarności niektórych gorliwych katolików i pomocników salezyańskich, pomiędzy którymi naczelne stanowisko zajmuje Najprzewiel. ks. archidyakon Franciszek z Pauli Rodriguez i doktor Saladino, jest w S. Paolo jednem z tych dzieł humanitarnych, które najobfitszy plon wydają; jest jakby drzewem, z którego ludność miasta zbiera rok rocznie jak najpiękniejsze owoce. Zakład ten mieści w sobie przeszło 400 młodzieniaszków, którzy wychowywani w bojaźni Bożej kształcą się w różnych rzemiosłach, lub przygotowują się do wyższych nauk, aby się stać kiedyś podporą społeczeństwa, pochodniami przyświecającemi swemu narodowi. Oprócz tych uczęszcza jeszcze do kaplicy świątecznej blizko 600 chłopców, korzystając z tych błogich owoców wychowania salezyańskiego, które my wszyscy dobrze znamy, bo jesteśmy naocznymi świadkami korzyści, jakie odnosi nasza młodzież przez to, że wolne chwile w niedziele i święta przepędza pod okiem synów ks. Bosko, tych

stróżów niewinnych młodzieniaszków. Jeżeli się kto chce przekonać, co może zdziałać miłość chrześcijańska, ten niechaj idzie do tego zakładu salezyańskiego, a zdumieje się na widok całej rzeszy wychowanków salezyańskich, utrzymywanych w karności, oddanych całą duszą swemu zajęciu czyto jako rzemieślników czy też studentów, a przytem warsztaty salezyańskie w niczem nie ustępują miejskim, owszem niektóre z nich jak n. p. drukarnia, uchodzą za najlepsze w całem mieście. Tosamo rzec można i o kapeli zakładowej. Kościół zaś godny prawdziwie Zgromadzenia Salezyańskiego i stolicy państwa. Świątobliwy ks. dyrektor Wawrzyniec Giordano może się pochlubić, że w przeciągu 8u lat

Pamiątka wizyty X. Rua w Zakładzie Salezyańskim w Londynie (Anglia).

zawsze wesołych i swobodnych. Patrząc na pracowitość tych kochanych Ojców, człowiek nie może poprostu pojąć, skąd oni czerpią tyle sił i otuchy; oprócz bowiem licznych obowiązków kościelnych przy parafii, nadzorują tych młodych chłopaków, z natury wieku żywych, ruchliwych, a nieraz nawet swawolnych, a mimo to umieją utrzymać wszędzie karność, ład i porządek, i osiągają ten skutek, że z ich zakładu wychodzą młodzieńcy bogobojni, pracowici, prawdziwa ozdoba społeczeństwa. We wszystkich warsztatach pracują chłopacy od 10ciu do 18tu lat, a mimo to swego dyrektoryatu wzniósł zakład, mogący pomieścić kilka set chłopców, posiadający obszerne dziedzińce i śliczny ogród; ale tą gwiazdą, która najbardziej błyszczy w koronie zasług tego niezmordowanego męża jest właśnie ów kościół. Tyleśmy powiedzieli o zakładzie salezyańskim w S. Paolo; żeby jednak wykazać, jakie dobro płynie z niego dla całego miasto, na to potrzebaby pióra Bosueta."

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



MISYE SALEZYAŃSKIE

Historya Misyi Salezyańskiej w Ziemi Ognistej.

(*Przez X. Beauvoir, Misyonarza Salezyańskiego.*)

(Ciąg dalszy).

Odejście Indyan. — Przechodzą przez rzekę a potem wszczynają między sobą utarczkę.

Nazajutrz byłem właśnie w kościele, odmawiając zwykłe codzienne modlitwy, gdy nagle podniósłszy oczy ujrzałem przez otwarte drzwi masę rąk wykonywujących ruchy, jak gdyby kogoś żegnały. Posyłam więc braciszka, aby się dowiedział, co to ma znaczyć. Po chwili wraca braciszek i powiada mi, że przed kaplicą zebrali się Indyanie już gotowi do wymarszu, aby sobie szukać żywności; wprzód jednak pragną się ze mną pożegnać, i wybrali z pomiędzy siebie kilku znaczniejszych z kapitanem swym na czele, i ci właśnie chcą mi coś ważnego powiedzieć. Wychodzę więc ciekawy, co też to takiego ważnego kapitan mi powie, i spostrzegam, że rzeczywiście tak jest, jak mi to braciszek był opowiedział. Jak tylko mnie spostrzegli, tak zaraz kapitan wysunął się naprzód i w imieniu wszystkich oświadczył mi, że odchodzą odemnie bez najmniejszej urazy, że niczego się nie boją i że jak tylko będą mogli, zaraz do mnie powrócą. Odpowiedziałem im wszystkim to, co już dnia poprzedniego byłem powiedział samemu kapitanowi; upomniałem ich, aby się sprawowali dobrze, nie bili się pomiędzy sobą, nie mordowali się, i nikomu żadnej krzywdy nie wyrządzali, poczem dałem im znak, że mogą odejść.

Ruszyli więc naprzód. Niemało zdziwiło mnie gdym zobaczył, że tak ci z południa, jak i ci z północy, brodząc przez rzekę, szli w tym samym kierunku. Cóż to ma znaczyć? pomyślałem sobie; czyż to być może, żeby ci, którzy dotychczas byli najzawziętszymi wrogami, którzy nawet nie chcieli pozwolić na to, aby między nich rozdzielano zupę zaczerpniętą z tegosamego kotła, żeby ci właśnie maszerowali w największej zgodzie i do tego samego miejsca, jak gdyby byli najserdeczniejszymi przyjaciółmi? Zwróciłem się więc do stojącego tuż obok mnie Indyanina z zapytaniem o wyjaśnienie mi tej zagadki, i dopiero od tego dowiedziałem się, że odchodzący Indyanie są powiększej części pomiędzy sobą spokrewnieni; wielu bowiem z północy pojęło za żony córki tych z południa i na odwrót; w ten sposób przyszło łatwo do zgody pomiędzy nimi. „Dałby Bóg, żeby to tak było rzeczywiście,“ pomyślałem sobie, lecz jakiś głos wewnętrzny nie pozwalał mi być spokojnym; przejmowało mnie jakieś uczucie złowrogie, że ta zgoda nie jest szczera i że z tego może coś złego sie wywiąże.

I nie zawiodłem się. Za kilka dni bowiem dowiedziałem się, że Indyanie, zaledwie się przeprawili na drugą stronę rzeki i gdy już nie mogliśmy ich widzieć, poczęli się nawzajem rznąć i mordować; mnóstwo ich zostało ciężko poraniowych, a wielu nawet postradało życie.

Przybycie tych Indyan z północy i południa było rzeczywiście z zawiązkiem misyi, założonej w Rio Grande t. j. w samym środku wyspy, dla niesienia światła wiary biednym Indyanom zamieszkującym Ziemię Ognistą, gdyż od tej chwili Indyanie nieustannie nawiedzali nasz dom; jedni odchodzili, a drudzy przybywali na ich miejsce. Raz mamy u siebie tych z południa, którzy przybywszy do nas, bawią z nami przez jakiś czas, a my rozdzielając między nich żywność i kawałki odzieży, korzystamy z ich obecności, wpajając w ich serca zasady naszej wiary św. Innym razem przychodzą znowu ci z północy, i to daleko częściej aniżeli południowi, a nieraz stają się nam wprost natrętnymi i nieznośnymi; obawiając się bowiem, aby południowi nie zyskali sobie jakichś względów u misyonarzy, ustawicznie prawie u nas wysiadują, a niektórzy nawet już się na stałe między nami osiedlili, i to z całemi rodzinami. Ta ich zazdrość i obawa utraty względów u Misyonarzy doprowadza nieraz do tego, że poprostu zmuszają południowych do opuszczenia misyi, i nie pozwalają im się drugi raz zbliżyć do misyonarzy, grożąc im śmiercią.

Indyanie północni zmuszają południowych do opuszczenia misyi.

Od czasu do czasu wsiadałem na konia i obiegałem całą okolicę, zapuszczając się w ciemne lasy i zwiedzając brzeg morski, na którym za każdą prawie razą spotykałem Indyan zajętych łowieniem ryb. Nie uciekali już przedemną i nie kryli się, jak przedtem, ale owszem zbliżali się do mnie i wdawali się w rozmowę, pokazując mi złowione ryby. Często nawet dzielili się niemi z misyonarzem i wtedy otrzymywali w zamian kurczęta lub inne pożyteczne przedmioty.

Jadąc pewnego razu brzegiem rzeki, spostrzegłem ośm rodzin brodzących po kolana w spokojnej wodzie. Kobiety niosły według zwyczaju wielkie tłumoki i drobne dzieci: większe dziatki trzymały się za ręce matek. Powitawszy ich, zaleciłem im, by się w pobliżu misyi osiedlili. Zastosowali się chętnie do mej rady i pospieszyli naprzód. Ja tymczasem pojechałem dalej na otwarte błonia, a wróciwszy późnym wieczorem, zauważyłem, że się rozłożyli w znacznej odległości od misyi za małym pagórkiem. Widocznie obawiali się Indyan północnych i chcieli się przed nimi zataić.

Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy nazajutrz zaszedłszy na miejsce z kotłem dymiącej zupy, nie zastaliśmy żywej duszy i tylko ślady wskazywały, gdzie stały namioty. „Co tu zaszło?“ pytał jeden drugiego. „Czemu przypisać należy to nagłe zniknięcie Indyan? Skądto, że przepadli jak kamień w wodę?“

Już wspomniałem, że Indyanie północni mieli w podejrzeniu i nienawiści Indyan południowych. Przyczyną tego były nie tylko dawne wrogie stosunki dwóch szczepów, ale także ten fakt, że południowi osiedlili się przy misyi bez zezwolenia północnych, do których grunt misyjny należał i których prawo przez to samo naruszone zostało. Udawali wprawdzie że zgodzili się z tak gorzkiem upokorzeniem, ale był to tylko zręcznie wymyślony fortel, bo istotnie przysięgli wieczną, straszną zemstę.

Czaty Indyan północnych doniosły swemu plemieniu o przybyciu Indyan południowych i o rozmowie, jaką ze mną prowadzili. Zebrał się więc na naradę cały szczep. Ja o tem nic nie wiedziałem i kiedy w nocy przybyło do misyi dwóch chłopców północnych, przyjąłem ich do domu, częstowałem kurczętami i zapraszałem, by się z nami zatrzymali. Na tę propozycyę wybuchnęli głośnym śmiechem, ale w końcu dali znać, że przyjmują mą radę, choć z ich oczu przebijało na zewnątrz, że ulegają tylko pozornie, a w duchu coś innego zamierzają. Jak tylko udaliśmy się na spoczynek, dwaj chłapacy drapnęli pokryjomu i pobiegli do szałasów Indyan południowych, którym rozkozali imieniem swych ziomków północnych, natychmiast się z misyi wynosić, jeżeli sobie nie życzą, żeby do tego użyto gwałtu. Biedni przybylcy zerwali się ze snu, i dowiedziawszy się, na co się zanosi, pozwijali namioty i, mijając misyę, przeszli przez rzekę na swoje terrytoryum. Równocześnie dwaj przebiegli chłopcy północni, wywiązawszy się zręcznie ze swego poselstwa, zmykali czemprędzej ku swemu szczepowi, w stronę wręcz przeciwną.

Chociaż Indyanie północni obstawali wytrwale przy swem mniemanem prawie, gdy chodziło o to, by południowi nie przychodzili do misyi gromadami, to nie tak obchodzili się z nimi, gdy przybywała na przykład

jedna rodzina. Wtedy bowiem traktowali ich bardzo gościnnie i przyjmowali ich chętnie do swych namiotów, za co też sobie wynagradzali, przechodząc na drugi brzeg rzeki, ilekroć mieli tego potrzebę.

Polowanie. — Pierwsi wychowankowie.

Mięso guanaka (1) było głównym pokarmem, jaki nam kuchnia przez dwa lata dostarczała. Co trzy dni, albo przynajmnej dwa razy do tygodnia, cały dom zajmował się jedynie polowaniem na to zwierzę tak użyteczne i niezbędne w tych okolicach.

Pewnego razu noc zapadła nad dziką krainą, bielącą się od śniegu, a o polujących braciszkach ni słychu ni widu. Byli oni jeszcze daleko w stepie, kiedy podle małej kępy jakiś szelest zwrócił ich uwagę. Zbliżywszy się do skraju zarośla, poczęli wpatrywać się weń pilnie i nastawiać ucha. Wiatr przestał wiać, zrobiła się cisza, wśród której odzywał się czasem jakiś cichy głos, niby daleki jęk, niby bolesne wzdychanie. Zeskoczyli z kulbaki, otoczyli kępę i z pewnym niepokojem zaczęli z różnych stron wchodzić w cichy, tajemnicy gąszcz. Wtem w ciemnościach ozwał się przedłużony jęk dziecinny, tak smętny, tak przenikliwy, że aż dreszcz wszystkich przeszedł. Skierowali swe kroki w stronę, z której głos ten dochodził, i zeszli się pod drzewem, pod którem leżało w mchu i śniegu dwóch chłopców na pół okrytych skórą guanaka, skostniałych od zimna i ledwie żywych. Litość rozczuliła serca myśliwych...

Tymczasem ja wyglądałem z niepokojem ich powrotu, a kiedy wreszcie późno w nocy tętent koni dał się słyszeć zdala, wybiegłem na podwórze. Ku wielkiemu memu zdziwieniu staje przede mną tylko jeden jeździec i, wyciągając jakiś czarny przedmiot, mówi mi:

— Ojcze, oto guanako, któregośmy upolowali.

Przyświecam sobie latarnią i rozpoznaję dziecko indyańskie. Wziąłem je na ręce, zaniosłem do oświeconego pokoju i przypatrzyłem mu się dobrze. Mogło mieć z dziewięć lat, było wzorowo zbudowane, nosiło długie włosy, potężne paznokcie a trzęsło się od zimna.

— Biedaczku! rzekłem. Żal mi cię i radbym ci ulżył w twej nędzy.“

Owinęliśmy biednego chłopczyka wełnianą kołdrą i posadziwszy go przy piecu, daliśmy mu spory kawał mięsa do ręki. Niebawem zaczął przychodzić do siebie. Tymczasem przez okno usłyszeliśmy odgłos kopyt końskich. Uchylam drzwi i widzę, że także drugi braciszek zamiast guanaka niesie mi chłopczyka nieco mniejszego od pierwszego. Wyglądał nierównie gorzej i pobudzał do litości. Gdy pod działaniem grubej kołdry i rozżarzonego pieca nieco ożył, wręczyłem i jemu kawał mięsa, które żarłocznie pożerał. Widząc swe ręce, ramiona i całą osobę owinięte grubą kołdrą, stanęli nieruchomi, jak gdyby ich okuto w kajdany i byli tak zmieszani, że ani się ruszyć z miejsca nie śmieli. Dopiero gdy spróbowali chodzić i przekonali się, że nie tylko mogą utrzymać się na nogach, ale mogą nawet swobodnie kroki stawiać, po wzajemnem na się wejrzeniu zgodzili się na nowy ubiór.

Mając na uwadze nazwę miejscowości, w której ich znaleziono, nazwaliśmy ich Belmonte i Mati. Po dostatecznem przygotowaniu zostali ochrzczeni i nadałem im imiona Józef Jakób i Józef Jan. Do nich przyłączyliśmy trzeciego, którego nazwałem Delfreddo dlatego, że przynieśli mi go przezięblonego. Na chrzcie nazwałem go Józefem, Szymonem. Byli to pierwsi stali wychowankowie misyi salezyańskiej (1).

(1) Guanako (*Auchenia huanaco)*, rodzaj ssaka z rzędu parzystokopytnych, z rodziny wielbłądowatych (*tylopoda)*. Podobnie jak wielbłądy mają zębów przednich $\frac{2}{6}$, kłów $\frac{1-1}{1-1}$, trzonowych po $\frac{5}{5}$ lub $\frac{4}{4}$ przerwanych, ukośnych, trących. Dochodzi dwóch metrów długości, nogi ma dwupalcowe z kopytkami na końcach palców osadzonemi, szyję długą, cienką, pysk długi z górną wargą przeciętą, kształty ciała lżejsze i zgrabniejsze niż u wielbłądów, grzbiet bez garbu, ubarwienie brudno-brunatne. Żyje licznemi trzodami na Ziemi Ognistej i w Kordylierach od cieśniny Magelańskiej aż do Peru. Wskutek polowania gatunek ten znacznie się liczebnie zmniejszył. Karmi się trawami i mchem.

(1) Już pierwej gościło u nas koło dwunastu chłopców indyańskich, ale nie wytrwali i pewnego wieczora cichaczem opuścili misyę, uprowadzając dobrego charta i konia. Lecz zmyślne zwierzęta zdołały im się wymknąć i powróciły razem do misyi.



Wycieczka misyjna do stanu Goyaz (Brazylia).

(List ks. Antoniego Malana).

(*Ciąg dalszy*)

Niniejsze stronice kreśliłem na popasach, gdy zeskoczywszy z konia i obwinąwszy się w płachtę, by się uchronić od bolesnego żądła moskitów, siadałem znużony na miękkim trawniku. Dałby Bóg, żeby te słowa pobudziły jaką szczodrą duszę do wspierania nas modlitwą i jałmużną.

24 września o godz. 11 przed południem wyjechaliśmy *in nomine Domini* z Cujaba. Było nas trzech Salezyanów: ks. Balzola, br. Gobet i piszący. Prócz tego towarzyszył nam p. Fernandez, inspektor linii telegraficznej i dwa, parobczaki. Oprócz zwierząt wierzchowych wzięliśmy trzy juczne, obładowane ołtarzem przenośnym, namiotami nocnymi, różnymi przyborami i rzeczami w puszczy niezbędnemi. Zaraz za miastem odwiedziłem i wyspowiadałem pewną niewiastę, która od kilku miesięcy leży na łożu strasznych boleści. Jest ona matką pierwszego Salezyanina z Matto Grosso. Zdając się na wolę Bożą, pragnęła biedaczka widzieć swego syna przystępującego do ołtarza, ale nie doczekała się tego szczęścia, bo w kilka dni po moim odjeździe zakończyła swe życie.

Po godzinnej podróży pożegnaliśmy towarzyszących nam nowicyuszów z Coxipo. I oto zapuszczamy się w rozległe puszcze, któremi są wiecznie omajone te pagórczyste strony. Od czasu do czasu otwierają się przed nami ciemne pieczary górskie, które wydają jakieś ponure głosy, niby echa ryków tygrysich, syków węża dusiciela, skrzeczeń drapieżnego kondora i kwilenia maleńkiego kolibra.



Zakład Salezyański w Londynie (Anglia).

Dreszcze przechodzą człowieka w owej chwili i krew w żyłach krzepnie: serce bije gwałtowniej i włosy na głowie stają, podczas gdy wyobraźnia leci, leci daleko do zaklętych zamków. Pod kopytami mułów gruchocą kości poległych zwierząt. Niepohamowany w biegu koń bije kopytami po zielonej murawie i parska nozdrzami, jak gdyby chciał pożreć drogę, której jakoś nie ubywa. Cierpliwy natomiast osieł bieży wolnym ale ciągłym kłusem z łbem zwieszonym: nie żali się na cieżar włożonych nań torb skorzanych, ale zastanawia się nad nieskończoną przestrzenią, którą za szczupłą miarkę obroku musi przebiedz.

O godzinie 8 wieczorem zatrzymaliśmy się przy rzeczce Orica, wpadającej do rzeki Cujaba, gdzie zazwyczaj stają na popas wszystkie karawany, gdyż jest tu podostatkiem świeżej

wody, jako też paszy. Tu zjechaliśmy się z braciszkiem Gobeto i z dwoma parobczakami, którzy z wolniejszemi zwierzętami byli pojechali naprzód. Dotąd nie było żadnego wypadku.

Jutrzenka 25 września zastała nas na zielonej równinie, z której jednak wkrótce zjechaliśmy, aby się przed ulewą w gęstym lesie schronić. Trzy rządowe zwierzęta juczne były tak mizerne i słabe, że wątpiliśmy bardzo, czy przetrwają całą podróż. Jedno z nich, które krótko przedtem służyło w nieszczęśliwej wyprawie rządowej, mającej wyznaczyć drogę łączącą Matto Grosso z Parà, obaliło nam się aż siedm razy na przestrzeni jednej mili.

Przybywszy do pewnego miejsca zwanego Pintahyral, zsiedliśmy na kilka minut, aby popaść konie, aliści raptem wypada z lasu dziki muł. Rycząc przeraźliwie i pędząc szalenie przez polankę, wystraszył nasze zwierzęta, które choć okulbaczone rozpierzchły się, uciekając jedne w pustynię, drugie drogą już przebytą, a inne za opętanym mułem (1). Rozleciały się z taką furyą, że popękały nowe popręgi, torby się poprzedzierały i rzeczy nasze rozsiały się po puszczy. Płyty fotograficzne potłukły się na kawałki, sieci do spania były podarte, innych rzeczy musieliśmy szukać daleko od drogi. Była to rozpaczliwa chwila i krytyczne położenie... pieszo, bez pożywienia, w środku puszczy. Jak sobie poradzić?

Wysłałem zaraz braciszka Goleta z trzema parobkami szukać naszych zwierząt, co potrwało aż dwa dni. O 6 wieczorem mieszkający w pobliżu p. Antoni Bueno przyprowadził mi mojego konia ale bez kulbaki, którą dopiero na drugi dzień znaleźliśmy. Lecz wierzchowiec p. Fernandeza na dobre się gdzieś ulotnił i mimo wszelkich poszukiwań dopiero po 40 dniach zoczyliśmy go przypadkowo, jak ze siodłem pod brzuchem skakał ze śmieszną dzikością, obracając się wokoło siebie, wskutek czego strzemiona tłukły go nielitościwie po żebrach.

W następny dzień po Mszy św. zebraliśmy się, aby się naradzić nad tem, co wypadało nam czynić. Uchwalono, aby ks. Balzola wrócił natychmiast do Cujabà i na miejsce dwóch szkap nie do użycia kupił dwa dobre i łagodne konie. I rzeczywiście 31 sierpnia przybył niespodzianie do Cujabà.

Ja znowu przepędziłem czas, chrzcząc, spowiadając i nauczając lud okoliczny, który dowiedziawszy się o mej obecności w owych stronach, zaczął się tu i z dalszych osad schodzić. Wieczorem pierwszego dnia przyszedł do nas pewien człowiek zgłodniały i rozpaczający, szukając żony, którą mu jakiś zbiegły z więzienia łotr przed miesiącem uniósł.

Ks. Balzola wyruszył do puszczy w pierwszą niedzielę września, wziąwszy ze sobą jeszcze jednego chłopca i trzy konie. Zastał nas zmartwionych i znużonych przymusową nieczynnością, jeśli tak nazwać można pobyt w Pintahyral.

Już wszystko przygotowaliśmy do dalszej podróży. Zastąpiwszy zbiegłe nam 3go września zwierzęta nowemi i silnemi, opuściliśmy nieszczęsny nasz przystanek, chociaż nam to bardzo trudno przychodziło, bo biedne kości nasze, jakby połamane długiem tułactwem, pragnęły dalej spoczywać. Wszelako duch wziął górę nad zmęczonem ciałem i z pomocą Bożą uszliśmy spory kawał drogi, nim nas pod wieczór zatrzymała niemiła przygoda która potem ciągle się powtarzała. Zabieraliśmy się właśnie do rozbicia namiotu, gdy nagle zerwał się straszny huragan, i począł miotać grube krople deszczu, tak iż zaledwieśmy zdołali schronić przenośny ołtarz i inne rzeczy, lunął ulewny deszcz. Nie umiem, Drogi Ojcze, opisać Ci dokładnie krytycznego położenia, w jakiemśmy się wtedy znajdowali. Skuleni pod malutkim namiotem, ledwo mogliśmy oddychać; namiot bowiem nie miał więcej jak 8 metrów kubicznych rozmiarów, a w takiej małej przestrzeni pracowało nas czterech silnie płucami; łatwo więc sobie wyobrazić, jakąśmy atmosferą oddychali; nadto ulewny deszcz nie oszczędzał nas pod szałasem, ale wdzierał się do nas którędy tylko mógł, a to wszystko wśród powłoki grubych ciemności, którą tylko odczasu do czasu rażąca oczy błyskawica przedzierała. Inni trzej z orszaku, którzy się pod namiotem nie mogli pomieścić, pozostając na polu, zasłaniali się, czem mogli; skuleni siedzieli wśród uprzęży zwierząt, nakrywszy

---

(1) Ciekawe rzeczy opowiadają się tutaj o tym mule. Prawdopodobnie drapnął on jakiejś karawanie kupieckiej i błąka się po lesie. Zobaczywszy drapieżne zwierzę, ucieka niepohamowanie i straszy przechodniów.

głowy siodłami. Nawet nieme bydlęta walczyły z rozhukaną naturą: ustawiwszy się wpółkole i zwróciwszy się tyłami przeciwko wiatrowi, pospuszczały głowy ku ziemi i stały nieruchome, opierając się silnie potężnemu huraganowi. Rozdzierający grubą ciemność błysk piorunu oświetlał co chwila nasze obozowisko, a wtedy roztaczał się przed nami ponury widok. Zdawało się, że 7 istót rozumnych walczy z mocami natury, która nadaremnie stara je się pokonać.

A tymczasem w namiocie rozgrywała się pocieszna scena. U samej góry zawiesiłem ja swoją wiszącą kolebkę, pode mną ks. Balzola, a jeszcze niżej inspektor sieci telegraficznej rozpostarł na linach skórę wołową, służącą mu zarazem za materac i prześcieradło, a nareszcie na samym dole na pudłach i kufrach ulokował się nasz zabawny murzyn. Ze wszystkich jeszcze on najlepiej na tem wyszedł; bo podczas gdy mnie zlewał rzęsisty deszcz, murzyn spoczywał sobie jak najspokojniej na kufrach, i potrzebował tylko uważać, aby woda płynąca tuż obok niego, nie podmuliła kamieni, na ktorych spoczywały kufry.

To też choć my mieliśmy kwaśne miny, nasz murzyn był w jak najlepszym humorze, i bawił nas swojemi opowiadaniami. Pomimo że było ciemno w namiocie, gdym słyszał głos nosowy murzyna, przypominałem sobie jego pocieszną figurę i mimowoli usta układały się do śmiechu. Nie mówiąc już o tem, że jest czarny jak węgiel, ma nadto duży garb, zębów prawie żadnych, język nieco przydługi, wskutek, czego szepleni, i mówi przez nos. Gdy jeszcze w dodatku począł nam opowiadać różne zdarzenia, w których on był, jak zawsze, głównym bohaterem, wtedy zapominało się mimowoli o dolegających nam cierpieniach i niewygodach, i słuchało się mniej więcej wesoło jego banialuk.

Pogodny poranek dodał nam otuchy do dalszej podróży; wysłaliśmy naprzód zwierzęta niosące nasze kufry i tłumoki; potem odprawiłem mszę św. i mniej więcej w dwie godziny po wysłaniu zwierząt ruszyliśmy sami. Zrobiwszy może z jakie 25 klm., doszliśmy naszych mulników; murzyn jak zawsze szedł pieszo, za nic w świecie bowiem nie można go było skłonić do tego, aby osiadł jakiego muła lub konia; powtarzał tylko ciągle: „Panie! dokądkolwiek tylko zajdzie osieł, tam i ja zajdę, i nie pozostanę w tyle.“ Chociaż był takim tchórzem, że bał się wsiąść na konia, jednak chwalił się, iż przez 8 lat służył w wojsku cesarza, że kilka razy przeszedł wszerz i wdłuż całe Matto Grosso, i to zawsze tylko lądem!

W tym dniu strzeliła mu jednak do głowy szczególniejsza myśl, na jaką mógł się zdobyć tylko taki człowiek jak nasz murzyn, a która nas nabawiła niemało strachu. Już się widocznie zmęczył prowadzeniem muła za powróz; więc nie namyśliwszy się długo, przywiązał muła koniowi do ogona. Na nieszczęście biedny muł się potknął na drodze i upadł. Wtedy koń, poczuwszy ciągnący go ku ziemi zbyt wielki ciężar, począł wierzgać, a muł nie mógł wstać, boby mu koń był kopytami łeb roztrzaskał. Byłby nam się albo muł udusił albo koń byłby sobie ogon wyrwał, gdyby nie był nam przyszedł z pomocą p. Aleksander, strażnik linii telegraficznej, który nie tracąc przytomności, uciął koniowi ogon.

Ale nie tu jeszcze koniec dziwactwa naszego murzyna. Napotkaliśmy w drodze rozłożyste drzewo figowe, które, rzucając szeroki cień, wabiło do siebie podróżnika. Murzyn, nie namyślając się, puszcza osła, i rozciąga się jak długi pod drzewem. Daremnie usiłowaliśmy go skłonić do dalszego pochodu. „Niech sobie idzie osioł sam,“ odpowiadał mi „ja go już doścignę, ale teraz muszę sobie wypocząć.“ Ruszyliśmy więc dalej, i przyszliśmy na miejsce, gdzieśmy mieli wypocząć, a naszego murzyna niema. Posyłam więc po niego ludzi, i ci spotkali go wlokącego z ledwością nogi za sobą, na wpół umarłego i wołającego z płaczem: „Dostałem w lesie zawrotów głowy i coś podobnego do morskiej choroby.“

Dotarliśmy nareszcie do przeznaczonego miejsca, zwanego *Comeicąn de Aguassù*, dziś jednak znanego-raczej pod nazwą *Ranchan*, dla tego, że znajduje się tam wiele *Ranchos* t. j. chat i domów wcale dobrze zbudowanych, a w części nawet pokrytych dachówką. Pierwsze, do czegośmy się zabrali, to posiłek dla tego, że od poprzedniego dnia żołądki nasze musiały pościć.

Podczas, gdy mulnicy byli zajęci karmieniem zwierząt, my odmówiliśmy brewiarz, i spełniwszy inne zwykłe codzienne praktyki pobożności, położyliśmy się zaraz do snu, aby choć w części wynagrodzić sobie za bezsenną

**

noc poprzednią. Nazajutrz 5go września odprawiłem mszę św., udzieliłem Chrztu św. kilku osobom i ruszyliśmy dalej w podróż w kierunku *Rio Manso* t. j. rzeki Spokojnej, którą tak chyba na urągowisko nazwano, bo bieg jej jest tak rwący, że poprostu żadnego mostu na niej zbudować nie można. W *Tijucal* zatrzymaliśmy się na popas, poczem poczęliśmy się wspinać na strome szczyty gór *Chapada*. Po dwugodzinnem wdrapywaniu się, połączonem z wielkiem niebezpieczeństwem życia, dostaliśmy się na najwyższy szczyt mający 800 metrów wysokości. Przed oczyma podróżnika otwiera się z tego miejsca widok godny pióra Chateaubriant'a, pędzla Verone-se'go, fantazyi Camoensa. W Europie bawi nasze oko widok prościuteńkich i równych dróg; tu w dziewiczej Brazylii zupełnie co innego zachwyca oko i fantazyę człowieka. Potęga i piękność natury zajmuje wszystkie władze duszy: oko rozkoszuje się widokiem równin, pokrytych najrozmaitszą, jaskrawą roślinnością; szmer strumyków, dochodzący zdala huk kaskad, ponętny śpiew najrozmaitszych ptaków bawią ucho podróżnika, który stojąc samotnie wśród tych niezmierzonych przestworów, czuje jak słabą jest istotą jego, a jak potężny musi być ten, z którego ręki wszystkie te cuda natury wyszły.

Patrzącemu na te czarujące widoki czas mknie niepostrzeżenie, i my bylibyśmy się tam dłużej zatrzymali, ale cel naszej wędrówki nie pozwalał nam na to. Słońce miało się już ku zachodowi, a miejsce, na którem mieliśmy sobie urządzić przystanek, było jeszcze daleko. Ale szło się nam bardzo przyjemnie; droga prościuteńka biegła prawie na samym szczycie pasma górskiego, i oko podróżnego nie było w stanie dojrzeć jej końca, a stojące po bokach słupy telegraficzne, im dasze, tem coraz mniej wyraźne, rysowały się gdzieś het na widnokręgu jako dwa paski ciemne po obu stronach drogi. Nie tylko my, lecz i zwierzęta widocznie rozkoszowały się cudnością przyrody: konie bowiem nasze, choć dość zmęczone, rżały wesoło, i same dobrowolnie przypieszały kroku. O 7 wieczorem stanęliśmy w Rio Manso. Tu podejmował nas bardzo gościnnie telegrafista p. Assis. Było to po raz pierwszy od dziewięciu dni, żeśmy znowu zasiedli przy nakrytym stole. Rodzina p. telegrafisty bardzo pobożna, brała z największą uciechą udział w rozmowie duchowej, którąśmy w jej domu urządzili. Pobyt u p. Assis, wiele nam przyniósł pożytku. Dowiedzieliśmy się mianowicie wiele szczegółów o stosunkach Indyan do cywilizowanych, o dobrych i złych stronach pierwszych, a nadto zaznajomiłem się z tem i owem co do topografii tej miejscowości, gdzieśmy zamierzali założyć centrum naszych kolonii.


Indyanie w Boliwii (Ameryka).

Nazajutrz 6 września, odprawione zostały dwie msze św. przy licznym współudziale mieszkańców stacyi jak i różnych innych podróżnych, jadących z Cuyaba lub innych miejscowości. Pomimo że p. Assis był niezbyt zdrowy, towarzyszył nam prawie aż do Burity, gdzieśmy znowu zagościli w domu p. Diogo Borges, którego syn przez wiele lat chodził do naszych szkół jako eksternista.





Marya Niebieską Lekarką.

W roku ubiegłym skutkiem przeciężającej pracy umysłowej, zapadłam ciężko na neurastenię. Kiedy pomimo rad lekarskich, nie miałam się zdrowszą, udałam się do Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, i Ta Cudowna Pani w Miłosierdziu Swojem wróciła mi zupełnie zdrowie tak, że na nowo mogłam podjąć się dalszej pracy i kształcenia się.

Najświętszej Pannie też zawdzięczam, żem zdała egzamin wydziałowy pomyślnie bardzo.

Publicznie też składam dzięki Przemożnej Pani, aby każdy w swoich potrzebach uciekał się do Maryi, gdzie go pewna Pomoc czeka.

Skołoszów (Galicya).

KAZIMIRA MARYA TAKLIŃSKA, nauczycielka.

***

Marya cudownie uzdrawia.

Gdy kuzynka moja Ludmiła zachorowała na chorobę umysłową i lekarze prawie żadnej nie czynili nadziei na jej wyzdrowienie, udałam się z prośbą do Matki Boskiej, Wspomożycielki Wiernych, i uczyniłam obetnicę, że w razie wyzdrowienia mej kuzynki, ogłoszę całe zdarzenie w *Wiadomościach salezyańskich*, co też teraz czynię z tym dodatkiem, że uważam to jej wyzdrowienie za prawdziwy cud, zdziałany za przyczyną Najświętszej Panny Maryi, Wspomożycielki Wiernych.

Choroba bowiem mej kuzynki trwała przeszło rok, a lekarze tuż przed jej wyzdrowieniem nie czynili żadnej nadziei, przeciwnie dawali do zrozumienia, iż ona nie odzyskawszy przytomności na paraliż mózgu zakończy życie.

Załączam 10 k. prosząc o odprawienie Mszy św. za zdrowie Ludmiły i dziękczynnej za otrzymane dobrodziejstwa.

Lwów (Galicya).

DOROŻYŃSKA.

***

Marya pomaga przy egzaminach.

Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, składam publiczne podziękowanie za złożenie egzaminu, prosząc tych Opiekunów niebieskich i nadal o błogosławieństwo w ciężkiej pracy w zawodzie nauczycielskim.

Żółkiew (Galicya).

M. H.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1631 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.

KRONIKA SALEZYAŃSKA

EUROPA

Z Górnego Śląska. — *Katolik* z dnia 14 czerwca b. r. (nr. 70) pisał: *Niemieckie Piekary.* W niedzielę, 1 czerwca b. r., odbyła się w naszym kościele bardzo podniosła i rzadka uroczystość. Odbył w tym dniu ks. Jan Sikora pierwszą mszę św. czyli prymicye. Ksiądz prymicyant jest Salezyaninem, pierwsze nauki pobierał w Seminaryum Misyjnem we Valsalice pod Turynem, a w końcu w Rzymie, gdzie też otrzymał święcenia kapłańskie. Ks. Jan Sikora musiał wiele podjąć mozołów, nim dopiął swego celu. Jest synem ubogich rodziców, ojciec jego jest górnikiem i ma kilkoro dzieci. Mimo tego ks. Jan Sikora swoją wytrwałością zdołał przełamać wszystkie trudności, aż nareszcie stanął u pożądanego celu. To też nie tylko w jego rodzinie, lecz i w całej parafii naszej była z tego powodu radość. Nasz ks. proboszcz Zielonkowski z serdeczną uprzejmością ułatwił ks. Sikorze odbycie prymicyi w rodzinnej parafii. Przebieg uroczystości był następujący:

W niedzielę rano o godzinie 10 wyprowadzono z chorągwiami i muzyką z probostwa księdza prymicyanta; w pochodzie odśpiewano pieśń: *O Maryo, moja radość.* W kościele do mszy św. asystowali miejscowy kapelan i jeden z kolegów księdza prymicyanta. Kazanie podczas sumy pełne ciepła i serdeczności, wygłosił nasz ks. proboszcz. Na chórze odegrała miejscowa kakapela kilka pięknych pieśni polskich. Cała uroczystość odbyła się nader wspaniale i na wszystkich obecnych jak najlepsze uczyniła wrażenia. Po nabożeństwie odbył się obiad na probostwie dla najbliższych księdza prymicyanta, wieczorem zaś w rodzinie księdza Sikory odbyła się skromna wieczerza dla innych krewnych, przyjaciół i znajomych, których z prawdziwą gościnnością podejmowała rodzina ks. prymicyanta. Były mowy, toasty, była i muzyka, która pięknie przygrywała. Śpiewano nawet i bawiono się, tak że niewiedzieć jak prędko kilka godzin upłynęło. Tak podczas kościelnej uroczystości, jak i przy uczcie domowej, odbyło się wszystko po naszemu, po polsku, co nas wszystkich niezmiernie ucieszyło. Ks. Jan Sikora ma u nas pozostać jeszcze kilka tygodni, poczem powróci do Rzymu na swoje stanowisko. My parafianie piekarscy życzymy serdecznie naszemu księdzu rodakowi w jego kapłańskim stanie zdrowia, długiego życia i jak najlepszego powodzenia. Wszystkim księżom, a mianowicie księdzu proboszczowi ze serca dziękujemy za tę piękną uroczystość, z którejśmy się wszyscy ucieszyli."

Podróż Najprzew. ks. Michała Ruy. — Czcigodny Jenerał Zgromadzenia Salezyańskiego wyjechał tego roku na wizytacye domów salezyańskich w Alpach, Belgii i Anglii. Gdzie tylko się zjawił, tam widziano chorągwie, flagi, kwiaty, wieńce, illuminacye, ognie sztuczne, uroczyste nabożeństwa — tam brzmiały śpiewy, kapele, oklaski, wiwaty, mowy i powitania. Najpierw gościł sędziwy starzec w zakładach salezyańskich w Novarze, Intra, Canobio w północnych Włoszech. W Szwajcaryi zatrzymał się w domach w Askonie, w Lugani, gdzie otworzył nową kaplicę świąteczną, w Balernie, gdzie go bardzo czule witał ks. biskup Valfrè, dawny wychowanek ks. Bosko, w Zurychu i Muri. Belgijskie domy w Liège, Verviers i Hechtel podejmowały go z możliwą okazałością, a wreszcie zakłady w Londynie i Burwash (Anglia) wypowiedziały ostatni wyraz tego uszanowania i wdzięczności, jakie żywią ku czcigodnemu następcy ks. Bosko wszystkie domy salezyańskie, a zwłaszcza te, które on tego roku swą obecnością uszczęśliwił.

AMERYKA

Piszą nam z **La Paz (Rzplita Boliwia).** — Minister sprawiedliwości i oświaty na jednem z posiedzeń Izby odbytych w r. 1901, omawiał postępy tutejszego kollegium ks. Bosko, jak następuje: „... Już 40 miejsc bezpłatnych zajętych zostało przez wychowanków pochodzących z tego miasta. Liczba eksternistów przechodzi 70ciu, a pomiędzy nimi jest wiele sierot i innych opuszczonych dzieci, które w niedziele i święta uczą się tam religii i odbierają chrześcijańskie wychowanie. Wszystkich majstrów rzemiosła, nauczycieli szkół niższych, klas gimnazyalnych, muzyki instrumentalnej i rysunków jest ośmiu, prócz dyrektora, który udziela także lekcyi rysunków, mechaniki i snycertwa. Kollegium posiada dobre maszyny, wskutek czego funkcyonują wzorowo warsztaty kowalski, stolarski, szewski, krawiecki, oraz szkoły rzeźbiarstwa i plastyki. Co się tyczy ulepszeń, jakich zakład potrzebuje, byłoby pożądaną rzeczą, by jak najprędzej zaprowadzono wygodny wodociąg i założono wielką drukarnię i litografię...“

Do puszcz ekwatorskich. — Dziennik argentyński *Cristoforo Colombo* donosi: „Ks. biskup Costamagna, Wikaryusz Apostolski puszcz Mendez i Qualaquiza, jeden z najczynniejszych synów ks. Bosko, wyjechał 30 kwietnia z Santiago (Chile), aby po raz pierwszy zwiedzić olbrzymie obszary dzikich lasów ekwatorskich. Mieszkańcami tych okolic są dzicy Jivaros, których nawrócenie Leon XIII 1895 r. powierzył właśnie ks. biskupowi Costamagni. Wszelako wewnętrzne stosunki polityczne jako też prądy antireligijne nie dozwoliły jeszcze ks. biskupowi zobaczyć powierzonego mu wikaryatu. Księża Salezyanie, oddani całą duszą nawracaniu tych ludów, oczekują z niewymowną radością przybycia Wikaryusza Apostolskiego, który im będzie ojcem, nauczycielem i przykładem, bo jego serce jest pełne miłości bliźniego i apostolskiej gorliwości, a umysł oświecony wiadomościami zaczerpniętemi z długoletniego doświadczenia.

Ks. biskup Costamagna pracuje już od lat dwudziestupięciu na niwie misyonarskiej w Ameryce południowej, przechodził różne koleje i walczył nieraz z przemocą rządów okrutnych względem Indyan. Dotąd stałą jego rezydencyą było miasto chilijskie Santiago.“

Ojo de Agua w Patagonii. — Misyonarz salezyański ks. Piotr Orsi przesłał nam następne wiadomości: „By zadośćuczynić pragnieniom licznych osób, przerwałem naglące roboty nad ukończeniem zakładu w General Acha i zwiedziłem powierzone mi terrytoryum patagońskie *Chubut*. Pan Frattini, nadzwyczaj życzliwy nam dobrodziej, znając doskonale braki mej sakiewki, wysłał po mnie swą brykę. Dnia 7 lipca wyruszyłem ku dolinie Quine-Malal. Było tu raz koryto bystrej rzeki, która płynęła od zachodu na wschód, użyźniając malownicze równiny pomiędzy General Acha i Rio Colorado. Gdy atoli później wyschnęły jej źródła, wtedy i koryto zostało zupełnie zasypane piaskiem, jakiego tam naniósł wiatr pampasowy. Już dość dawno dolina ta zaczęła się zaludniać osadnikami. Ziemia jest żyzna i mogłaby się stać źródłem bogactwa dla zajmującego się jej uprawą ludu, ale stoi temu na przeszkodzie brak potrzebnego w swym czasie deszczu i suchy wiatr pampasowy.

Poczciwi koloniści są przejęci głęboką czcią dla kapłana, który od czasu do czasu ich odwiedza, przypominając im prawdy wieczne i wskazując im niezbędne środki do zbawienia. W Chiloe zapoznałem się z p. Vanolim, osobą bardzo uprzejmą i grzeczną. Posiada piękne mieszkanie letnie, które zupełnie oddał mi na usługi. Nie brakło w jego piwnicach i dobrego wina włoskiego, które wśród stepów wydało mi się istnym nektarem. Ale wkrótce nastąpiła smutna scena pożegnalna a potem awantury leśne. W głębi odwiecznej puszczy zaskoczyły nas ciemności nocne a nadto koń ciągnący brykę zaczął wyprawiać przeróżne dziwactwa i byłby nas z pewnością zawiózł na dno przepaści, gdyby nam nie była przyszła z pomocą Najśw. Marya Panna Wspomożycielka Wiernych. Dzięki Jej opiece zdołaliśmy wydostać brykę z gąszczu i po godzinnej krętaninie przybyliśmy do Ojo de Agua.

Oczekująca nas ludność, zwątpiwszy już o mojem przybyciu, zasiadła do kolacyi w dwóch obszernych salach: w jednej zajadały kobiety z dziewczętami, w drugiej mężczyźni i chłopcy. Pan Frattini przyjął mnie bardzo grzecznie i posadził na miejscu honorowem przy stole. Po sutej kolacyi zaczęły się wystrzały z moździerzy, ognie sztuczne i trzydniowe sobótki. Gospodarz domu dołożył wszelkich starań, aby się misya powiodła. Był on jakby drugim misyonarzem, bo zachęcał wszystkich, by korzystali z przybycia kapłana, poszli się wyspowiadać, przystąpili do Stołu pańskiego i dali ochrzcić swe dzieci. Misya ta nie zawiodła przywiązywanych do niej nadziei; zaś mała garstka tych, którzy nie przyjęli łaski Bożej, doznała wkrótce smutnych następstw swego niedbalstwa religijnego.“

Callao w rzplitej peruwiańskiej. — Nasz ks. Feliks Tallachini pisze do Najprzew. ks. Rua: „Zeszłego roku posłano mnie z Chile do Callao w Peru. W czasie mej podróży zatrzymałem się z jaki miesiąc w Iquique, w kollegium księży Salezyanów, którzy już od kilku lat pracują nad moralnem przekształceniem tego miasta, objaśniając dogmaty katolickie, przypominając obo-

wiązki wiernych, usuwając wątpliwości, wywołane przez protestantów, silnie popieranych przez rząd Stanów Zjednoczonych. Lud jest dobrze usposobiony do przyjęcia łaski Bożej, odnacza się żywą wiarą, uległością i prostotą serca, chociaż dla smutnych okoliczności był przez długi czas zaniedbany. Gromadzą się tu ludzie różnej narodowości i rasy: kaukaskiej, mongolskiej i krajowcy. Nie brak szczególnie przybyszów z niebieskiego państwa. Na tak liczną ludność nie jest wcale wystarczający tutejszy kler parafialny, nie byłoby więc zbyteczną rzeczą mieć dwóch księży z władzą misyonarską. Zwiedziłem szpitale, rozdając kalekom i chorym dobre książki i uzdrawiając wielu na duszy. W schronisku chińskiem, jako też we fabrykach, gdzie pracuje około 2000 robotników, zdołaliśmy zjednać sobie szerokie koła ludu za pomocą dobrych słów, bilecików treści religijnej i moralnej, za pomocą nabożeństw i przedstawień teatralnych, umyślnie dla nich podjętych. W dni świąteczne wstępowaliśmy także do koszar, obdarzając zgromadzonych żołnierzy podarkami, opowiadając im budujące przykłady, odmawiając z nimi modlitwy. Jaka szkoda, że nie masz kapłana coby się zaopiekował ich szczerem, prostem sercem. Dlaczego ojczyzna która dba o odzienie i pożywienie materyalne, nie troszczy się wcale o ich duszę? Czy żołnierz służy jej tylko samemi siłami cielesnemi? Nie używa on może w tej służbie sił duszy? Ojczyzna powinna być wojsku matką, nie macochą. Ale po co rzucać groch o ścianę? Już dwa pułki przygotowywały się do rekolekcyi, gdy z rozkazu ministerstwa wojny zostały wysłane do innej miejscowości. Zwiedziliśmy też statki wojenne, rozdając flisom szkaplerze, medaliki i różne pamiątki. Z biciem serca wstąpiłem także na wojenny statek francuski Prôtet, zarażony tyfusem. Ilu dobrych młodzieńców cieszyło się z przybycia kapłana. Dla nich przetłómaczyłem życiorys naszego kleryka, marynarza, Józefa Bussetty.

Miejscem bezwarunkowo domagającem się pomocy duchownej, są więzienia prowincyonalne w Callao. Setka więźniów przeklina bezustannie swój własny stan i zaraża się wzajemnie uczuciami zbrodniczemi, knując socyalistyczne zemsty. Już od wielu lat nie widzieli kapłana. Odwiedzałem ich dwa razy do tygodnia i osiągnąłem tyle, że odprawili rekolekcye i prawie wszyscy przystąpili do komunii św.

W Callao nie mogłem uniknąć zetknięcia się z metodystami (protestantami), którzy mają tu dwie kaplice i cztery kolegia. Z tego powodu napisałem i rozszerzyłem tu dwie książeczki o wierze katolickiej a z kilku pastorami rozmówiłem się prywatnie o niektórych punktach dogmatycznych. Jednakże po kilku rozprawach wszyscy kończyli, mówiąc, że bardzo im to przykro, iż nie umieją bronić Ewangelii Chrystusowej, ale wierzą w Niego i mają nadzieję osiągnąć wieczną szczęśliwość.

— Ale wy nie wierzycie w Chrystusa, rzekłem jednemu, ale wierzycie w swoje podmiotowe sądy, nie uznając widzialnego nauczycielstwa Kościoła.

— A więc ja nie miałbym się zbawić? pytał mnie jeden z nich.

— Może przedtem, trwając w dobrej wierze, byłbyś się Pan zbawił, ale teraz, kiedyś się Pan o swym błędzie przekonał, nie masz dla Pana zbawienia, jeżeli nie wrócisz na łono tego Kościoła, któregoś się wyrzekł.



Statua Zbawiciela na kościele Serca P. Jezusa w S. Paolo (Brazylia).

Po miesiącu poszedłem go znowu odwiedzić. Przyjęto mnie pod drzwiami, z poza których żona oznajmiła mi, że chory mąż śpi i że lekarze wzbronili mu rozmawiać.

— W takim razie wrócę inną razą.

W pięć dni potem znalazłem drzwi na oścież otwarte: nad niemi wisiał kir żałobny. Biedny apostata leżał już w trumnie.

Poznawszy wielką potrzebę pouczenia ludu, rozwinąłem niektóre artykuły wiary, podane w wątpliwość przez protestantów. Zauważyłem że na moje nauki uczęszczali pilnie także liczni metodyści. Nieraz jeszcze w ciągu tego roku musiałem przemawiać do wiernego ludu, tak w naszym kościele jak i w parafii.

Nasi księża przygotowali tego roku do pierwszej

komunii św. 300 chłopców, ochrzcili 4 protestantów. 5 Chińczyków i 20 chłopców i dziewcząt od 5 do 20 lat. Prócz tego pewien wyznawca religii schizmatyckiej wyparł się uroczyście w naszym kościele błędów prawosławnych i powrócił na łono Kościoła rzymskiego.“



Ze Wspomnień misyonarza. — Orszak misyjny prowadzony przez starego Patagończyka, pogrążał się nocną porą w coraz dziksze i pustsze stepy amerykańskie, zwane Pampasami. Długo jechaliśmy milcząc i rozglądając się po okolicy, której światło księżyca nadawało fantastycznych kształtów. Nagle przewodnik zatrzymał konia i zaczekał, aż się z nim złączymy. Wtedy tak się do mnie odezwał: „Teraz wy, Salezyanie, jesteście niemal panami Patagonii, bo Indyanin więcej was poważa i słucha, aniżeli rządu a nawet własnych kacyków. Ale nie zawsze tak bywało. Już tu inni Europejczycy przed wami chcieli zająć ten kraj, ale ponieważ nie zaczęli od cywilizowania Indyan, budowali zamki na lodzie i do niczego nie doprowadzili. Jedną z pierwszych osad europejskich była osada San José, która dla tego że źle strzeżona, była wciąż narażona na napady i wreszcie uległa zupełnemu zniszczeniu, którego sprawcami byli zręczni Indyanie. Dzicz powzięła wiadomość o tem, że w dni świąteczne osada nie jest tak czujna, jak w dni powszednie; wszyscy bowiem gromadzą się w kaplicy na nabożeństwo, a rozstawione warty bywają roztargnione towarzystwem innych osób, z któremi przepędzają czas na pogadankach i zabawach.

Szplichlerze były pełne. Likiery, wino, suchary, świeży chleb, mięso, odzież i inne artykuły nagromadzone w magazynach kolonii były głośne naokoło. Składy broni najmocniej kusiły Indyan, którzy zresztą nie mało sobie obiecywali rozkoszy w przysmakach i napitkach. Indyanie handlujący w osadzie skórą guanaka i strósiem pierzem, śledzili każdy ważniejszy przedmiot, każdy ruch załogi i donosili o tem hordom, rozpuszczając w osadzie wieść, że plemiona daleko się oddaliły.

Tymczasem kacykowie zebrali się na wspólną naradę, by ustalić plan napadu. Wiedzieli dobrze o tem, że od czasu do czasu zbrojne oddziały konnicy zapuszczają się głęboko w kraj, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Wiadomo im też było, że co wieczór mniejsze podjazdy obiegają wzdłuż i wszerz okolicę, by nie przypuszczać wojowniczych hord indyańskich do osady. Byli też doskonale o tem poinformowani, że skoro się tylko jeden z tych oddziałów natknął na jakie niebezpieczeństwo, wtedy fosa otaczająca obwarowaną kolonię była pilnie strzeżona. O tem wszystkiem wiedzieli kacykowie, więc pogrążyli się w lasach, nie dając o sobie znać ani Indyanom rozłożonym w okolicy. Było to w sobotę. Kapelan ogłosił, że nazajutrz odprawi się uroczysta Msza św. z kazaniem, na której mają być obecni nietylko osadnicy ale i cała załoga. Po nabożeństwie miała nastąpić ogólna, wesoła zabawa. Wszyscy marzyli o dniu jutrzejszym jako o niebywałych rozkoszach. Lekki oddział jeźdźców wyjechał wieczorem w blizkie krzewy ale widocznie nie wykrył silnego zastępu ukrytych Indyan, bo wrócił z wielką fantazyą. Pogasły światła: cała osada leżała pogrążona w śnie, tylko nad fosą rozlegał się ciężki chód warty. Tymczasem Indyanie wynurzyli się z gęstych zarośli i rozpoczęli przyspieszony pochód, ku osadzie, pod którą stanęli wczesnym rankiem kryjąc się w blizkiej witwinie. Na wschodzie niebo zarumieniło się jak purpura. Pomarszczone chmurki lśniły się czerwonym, złotym, ognistym blaskiem. Dzwon kaplicy bił długo i budził ludność ze snu. Zmieniły się straże i rzekły sobie, że w około nie zaszło nic nowego. Ale z zielonego gąszczu Indyanie śledzili każde poruszenie wart i wyczekiwali niecierpliwie oznaczonej godziny napadu, układając po raz ostatni swe plany, obmyślając sposoby podejścia, oglądając oszczepy, ostrząc topory, noże i strzały.

Równocześnie ze wschodem słońca spuszczono most zwodzony i zaraz obudził się żywy ruch w osadzie. Dzwon dał trzykrotny znak na nabożeństwo i krótko potem szpieg doniósł hordzie, że wszyscy osadnicy modlą się w kościele, prócz nielicznych straży włóczących się po ulicach i kilku mniej pobożnych parafian, których można było w mgnieniu oka

sprzątnąć. W tejże chwili fala Indyan przypadła do mostu i wtargnęła do osady. Straże broniły się mężnie wystrzałami, ale nie długi stawiały opór, bo jednych przeszyły strzały, innych dobiły topory i kije. Na huk broni palnej kilku żołnierzy wybiegło z kościoła, ale nim przestąpili próg, ujrzeli nadbiegające krocie okrutnych Indyan, wywijających włóczniami i napinających łuki.

„Indyanie, Indyanie! napad!“ taki okrzyk wyrwał im się z piersi. Nastąpiło zamieszanie nie do opisania. „Napad! Indyanie! napad! niech się ratuje, kto może!“ Ale już było za późno: żaden ratunek nie był możliwy. Żołnierze cisnęli się do drzwi środkowych: dzieci, kobiety, starcy garnęli się do wnętrza, wzywając niebieskiej pomocy. Kupy wściekłych Indyan zatarasowały wszystkie wyjścia i strzegły ich, wrzeszcząc: „Poddawać się, nie strzelać: nie używać broni, poddawać się.“ Więc broń szczękała o podłogę a za nią słały się mostem rzędy osadników, koszonych grubą maczugą. Rycząca horda wpadła wreszcie do kościoła, rąbiąc i siekąc błagające litości dzieci i kobiety. Mężczyźni bronili się stołkami, krzesłami i kijami, ale nieubłaganą była siekiera indyańska. Odpadały głowy, ręce, nogi, jezioro krwi zalało kaplicę...

Wyciąwszy w pień wszystkich zgromadzonych rzucili się Indyanie na domy, na sklepy, do piwnic, wydzierali sobie butelki i baryłki likierów, wódki i wina, dzielili się odzieżą, bronią, pieniędzmi, obładowali się tem co im było potrzebne i, spaliwszy kościół, zniszczywszy fortyfikacye, opuścili zgliszcze, uprowadzając konie i krowy.

Taki los spotkał kolonię S. José w jedną z pierwszych niedziel 1829 r. Tylko jeden mąż umknął przypadkiem, przedarł się do Patagones i doniósł o strasznem zajściu...“

Ze wspomnień misyonarza. — Światło bijących w górę płomieni oświecało wyraźnie kilku ludzi, siedzących w części na walizach, w części na karłowatych pniach stepowych. Byli to misyonarze salezyańscy, którzy na dzikim brzegu rzeki Rio Negro gotowali sobie wieczorny posiłek. Obok nich siedziało dwóch pół nagich Patagończyków. Starszy z nich znał doskonale z tradycyi całą przeszłość swego kraju i dlatego chętnie bawił misyonarzy swemi opowiadaniami.

Nagle misyonarz zapytał go, kto był pierwszym badaczem brzegów rzeki Rio Negro. Patagończyk, nie zająknąwszy się, odpowiedział, że był nim Hiszpan *Villarino*. Na pytania czy dawno żył, o powiedział całe jego awanturnicze życie i zakończył temi słowami:

„Pomoc, którą *Villarino* udzielił szczepowi *Neuquen* w bitwie z plemieniem potężnego kacyka *Curù*, stała się powodem ogólnego powstania wszystkich Indyan. *Juan de la Piedra*, komendant osady Patagones, wyjechał z obrotnym śledzicielem *Villarino*, by ukarać zuchwałych zaczepników. Indyanie złączyli się w głębokie oddziały, którymi dowodziło czterech najdzielniejszych bojowników i grono najzajadlejszych kacyków: garstka Hiszpanów szła do walki bez najmniejszej troski, lekceważąc sobie nieprzyjaciela.

Kiedy przyszło do rozprawy, Hiszpanie rzucili się na dzikie szeregi, i wszczęli okrutną rzeź, aż zanurzyli się zupełnie w morzu indyańskich zastępów. Wtedy straszliwy krzyk zgrozy wyrwał się z piersi wojska hiszpańskiego. Zewsząd pada mnóstwo żołnierzy przeszytych strzałami i kłutych dzidami, ale *Villarino* broni jak dzielny rycerz, a szabla jego, jak rażący piorun, zmiata każdego, co się doń przybliża. Śmierć dziesiątkuje jego towarzyszy: pada *de la Piedra*, padają oficerowie, padają liczni szeregowcy, a on stoi jak wryty, siecze, rąbie, obala, rani, zabija. Indyanie nacierają coraz silniej, kacykowie walczą między sobie o zaszczyt pasowania się z hiszpańskim bohaterem i zwracają ku niemu ostre dzidy.

Villarino widzi przed sobą zatkane na dzidach głowy swoich towarzyszy, a mimo to jak niezmęczony wioślarz opiera się do ostatka zburzonym bałwanom morskim, tak on odpycha coraz to groźniejsze fale dziczy a nieznużona ręka śle na lewo i na prawo, w przód i w tył śmiertelne cięcia. Wreszcie zaczyna słabnąć, nogi chwieją się pod nim, szabla cięży mu coraz więcej w ręce, piersi odniosły już kilka śmiertelnych ran i Villarino zatacza się aby runąć na murawę. Z szybkością błyskawicy przyskakuje do niego pewien kacyk, by odbić ostatnie cięcie konającego komendanta, ale w tejże chwili pada na ziemię martwy z rozciętą głową, a za nim wali się na ziemię umierający *Villarino*, którego dobija dzida mściwego *Curù*.

Długo obnosiła dzicz zatknięte na pikach głowy *Villarina* i *de la Piedra*, jako oznak

odniesionego zwycięstwa. Tak zginął pierwszy badacz stanu Rio Negro w roku 1785.“

Rys z życia Małgorzaty Bosko, matki naszego czcigodnego założyciela. — Obdarzona łatwem słowem i żywym duchem, przejęta na wskroś silną i gorącą wiarą, za szczęście sobie uważała Małgorzata i za potrzebę mówić o Bogu, który posiadał jej myśl i serce! Święte imię Pana było ciągle na jej ustach; o obecności Boga w każdem miejscu mówiła swym dziatkom, raz po raz powtarzając: „Bóg na ciebie patrzy.“ Byłoto wielkie jej słowo. I ta prawda zbawienna wyryła się w duszach dziecięcych niestartemi głoskami.

Kiedy szły bawić się za jej pozwoleniem na łąkę to przy rozstawaniu się mówiła: „Pamiętajcie o tem dobrze, że Bóg na was patrzy.“ Jeśli które z nich powróciło nadąsane, zagniewane to mówiła mu do ucha: „Bóg zna twoje myśli najskrytsze, nie zapominaj o tem.“ A jeśli na pytanie wprost dziecko chciało użyć jakiegoś wybiegu, albo posłużyć się lekkiem kłamstwem, „Niech cię Bóg broni — mówiła — abyś miał skłamać.“



Monument Zbawicielowi w S. Paolo (Brazylia).

Piękne widoki na wsi dawały jej często sposobność odżywiania w duszach swych dzieci myśli o Stwórcy. Kiedy wszyscy razem siedzieli na progu ubogiego domku, w czasie pogodnego wieczoru, ona zwracała oczy w górę i mówiła: „Jakże to niebo jest piękne, Bóg je stworzył, ubrał tylu gwiazdami i przeznaczył nam na mieszkanie.“

Na widok łąk ozdobionych kwiatami przez rękę Bożą, tak przy brzasku jutrzenki, jak przy zachodzie słońca, nieraz się do dzieci odzywała: „Ach! jakże cudne rzeczy Pan Bóg dla nas uczynił.“

Burza się zrywa. Dzieci przerażone łoskotem piorunu tulą się około matki. „Widzicie, jak Bóg nasz jest potężny, któż mu się oprze? Nie obrażajmy Go nigdy.“

Grad upadł ogromny, zniszczył zboże, pola smutny przedstawiały widok; inni załamywali ręce, poddawali się rozpaczy; ona przeciwnie, uznawała klęskę, ale miała zawsze na ustach słowo wiary, mówiąc: „Pan dał, Pan wziął, niech będzie święte Jego Imię błogosławione. Jakież straszne kary zachował dla bezbożnych! Nie szydzi się z Boga bezkarnie.“

Kiedy urodzaje były obfite, żniwo pomyślne, ona mówiła: „Złóżmy dzięki Panu, iż nam dał chleb powszedni.“ W czasie zimy dzieci zasiadłszy przy kominku, słuchały historyi; wtem wiatr zaszumiał na dworze, śnieg gęstemi padał płatami; Małgorzata przerywa opowiadanie, aby zwrócić uwagę na łaskawą Opatrzność, która im dała schronienie-ognisko. „Jakże Pan jest dobry! Jak Mu dziękować powinniśmy za Jego łaski! O! tak, Bóg jest dobrym Oicem. „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.“

Małgorzata umiała wybornie wyprowadzać nauki moralne i praktyczne ze wszystkich wydarzeń, jakie zajmowały wyobraźnię dzieci.

Przekonana, że próżnowanie jest źródłem wszystkich występków, starała się wynajdywać nietylko zajęcia ale i rozrywki odpowiednie do wieku i była szczęśliwa kiedy się dzieci rwały do jakiego przedmiotu lub jakiej zabawy, która ich pochłaniała całkiem.

Dzieci bardzo lubią ptaki, mocno się cieszą, kiedy jakiego ptaka złapią i pod tym względem wszyscy ludzie są dziećmi. Małgorzata uważała, że nie potrzeba zupełnie sprzeciwiać się tej uciesze: ona się głównie bała tego, aby dzieci nie próżnowały.

Po stosownych uwagach, jakie wskazywała roztropność, pozwalała dzieciom kiedy nie-

kiedy udawać się do gniazd, sama uczyła je robić sidła na ptaki, a także żywić i wychowywać, kiedy się złapały.

W wydrążeniu drzewa Jan odkrył pewnego dnia jajka bardzo ładnego ptaka i powziął natychmiast zamiar zabrania ich sobie, ale przedsięwzięcie nie tak łatwo dało się wykonać. Potrzeba było, dla dostania się do przedmiotu pożądanego, wpuścić rękę dość głęboko w szparę drzewa. Jan rękę wsunął, gniazda dosięgnął, ale przy wyjmowaniu trudność się zdwoiła. Wysiłki dziecka skończyły się na tem, że ciało nabrzmiało, ręka była jak w kleszczach. Tymczasem matka, która niedaleko stąd pracowała, zawołała na Jana. „Nie mogę przyjść.“ „A dla czego?“ „Włożyłem rękę w drzewo i nie mogę jej wyciągnąć.“ Matka biegnie ku niemu, wyswobadza nie bez trudu nieszczęśliwego więźnia i korzystając ze sposobności, mówi:

„Tak sprawiedliwość ludzka, a później sprawiedliwość Boska pochwycą i ukarzą tych, którzy chcą sobie przywłaszczać cudze dobro.“

Innego dnia w gęstwinie bukszpanowej dziecię odkrywa piekne gniazdko słowików; przed ich zabraniem i wsadzeniem do klatki czeka, aż się pokryją pierwszemi piórkami i w tym celu często odwiedza swych przyszłych wychowańców. Gniazdo to sprawiało mu wielką radość. Ale niestety! kukułka, która siedziała na poblizkiem drzewie, spostrzegłszy to gniazdko, zaczaiła się i pomordowała biedne ptaszyny; następnie przywłaszczyła sobie to mieszkanko, usadowiła się w niem i uważała je za swoje.

Jan był zdumiony i zasmucony stratą swych ptasząt. Za niedługo spostrzegł, kto takie spustoszenie w gniazdku sprawił. Kiedy raz i drugi przyszedł, kukułkę tam znalazł. Za jego nadejściem wylatywała, a on miał możność przekonania się, że na miejsce dawnych ptasząt są inne całkiem odmienne, widocznie do tej kukułki należące.

Nazajutrz o świcie Jan jak zwykle przybył dla robienia spostrzeżeń swoich. Wtem kot którego oko dojrzało pomiędzy liśćmi owo gniazdko, rzucił się jednym susem na kukułkę, pochwycił ją pazurami za głowę, uniósł cokolwiek dalej i pożarł bez litości.

Bardzo zadowolony tym czynem doraźnej sprawiedliwości, Jan chciał śledzić co się dalej stanie, i oto był świadkiem nowej rzeczy. Słowik ów, który pozostał przy życiu, przyszedł do swego gniazda, znalazł jajko, siedział na niem, dopóki się nie wykluło pisklątko o grubym dzióbku, złośliwych oczach, słowem brzydactwo. Opiekę jednak miało bardzo staranną, jakby syn jedyny, i Jan przychodził kilka razy dziennie oglądać tę scenę zajmującą i czułą zarazem.

Wkrótce kukułka pokryła się piórkami. Jan ją zabrał i wsadził do klatki. Ale zapomnienie, bardzo zwyczajne w podobnym przypadku, sprowadziło nową katastrofę. Raz dwa dni kukułka była bez pożywienia. Dwa dni to było za wiele. Swoim śpiczastym dzióbkiem zgłodniała kukułka próbowała rozszerzyć pręciki klatki. Głowa przeszła, ale druty znowu się zwarły i nieszczęśliwa przy największem szamotaniu udusiła się.

Jan opowiedział swoje zmartwienie matce i pokazał jej nieżywą ptaszynę. „Oto, moje dziecię — rzekła matka — historya człowieka mocnego, ale niesprawiedliwego: kończy on wtedy, gdy spotka silniejszego od siebie. Bóg nie pozwala, aby używał bezkarnie dobra źle nabytego. Dziedzictwem małej kukułki było gniazdo ukradzione, stąd jej nieszczęście. Majątek źle nabyty nie przynosi wcale szczęścia dzieciom. Błogosław Panu, bo twój ojciec nie miał ani jednego szeląga, któryby nie należał do niego, na któryby nie zapracował ciężko. Naśladuj go, bądź zawsze uczciwym człowiekiem.“

Wszystkie te porównania były tak jasne tak praktyczne, tak dobrze zastosowane do dziecięcego wieku że przenikały same aż do głębi serca i zostawały tam na zawsze.

Niech nam wolno będzie przytoczyć jeszcze kilka dowodów, dla pokazania jak ta dobra matka umiała korzystać z okoliczności pozornie najmniej znaczących i wyprowadzać z nich nauki bardzo budujące.

Jan razu pewnego przydybał sowę; podniósł ją jak najstaranniej i zabrał z sobą bez względu na zawody, jakich doznał poprzednio. Pewnego dnia przyszedł z koszykiem narwanych wiśni, pokazał jednę sowie, która ją chciwie połknęła z pestką; poczem otworzyła dziób i domagała się drugiej z wielkim krzykiem. On żądaniu jej zadośćuczynił natychmiast; ale sowa była nienasycona, a Jan się tem bawił. Masz, masz, bierz — mówił śmiejąc się — ona wzięła, jak poprzednio, otwierając dziób i rzucając oczyma: ale wkrótce potrząsła głową i upadła, aby już więcej nie wstać.

Jan opowiada swej matce smutny wypadek.

„Tak kończą żarłocy, odpowiada matka. Aby śmierć przyspieszyć, niema nic tak skutecznego, jak nieumiarkowanie i obżarstwo.“

Piękny pies, uprzywilejowany przyjaciel dzieci strzegł domu. Aby sprawić przyjemność swym rodzicom, Małgorzata zgodziła się na rozłączenie się z nim. Sama go zaprowadziła do ich mieszkania dosyć oddalonego; ale on, wierny swoim przyjaciołom, odnalazł wkrótce nieznaną mu drogę i uprzedził Małgorzatę do domu.

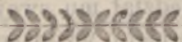
Wszelako, ponieważ poczuwał się do winy, przybył trochę nieśmiało; zbliżał się z łbem spuszczonym, szedł pomału, krok za krokiem, jakby błagając o przebaczenie: ale gdy nie ujrzał już na twarzy swych dawnych panów zwykłego uśmiechu, cofnął się i położył smutno w kącie.

Po kilku dniach rodzice przyszli i zaprowadzili go znowu do siebie; ale jak tylko puścili biednego psa na wolność, pomimo złego przyjęcia poprzedniego, nie zważał na nic i znalazł się niedługo na dawnem miejscu. Pierwsze przyjęcie było zimne, drugie złe. Jeden z synów wziął laskę, aby go postraszyć, a może i wybić; ale pies zamiast uciekać, położył się na grzbiecie, łapki podniósł do góry, i w tem niezwykłem położeniu zdawał się mówić: „Bijcie mnie, ile wam się podoba; ale nie odpędzajcie mnie od siebie.“

„Widzicie — mówiła Małgorzata do dzieci bardzo wzruszonych — widzicie, jaka była wierność, jakie przywiązanie tego psa do swoich pierwszych panów! Ach! gdybyśmy my chociaż połowę mieli tego poddania się, tej miłości ku Bogu, toby rzeczy szły całkiem inaczej na świecie i Pan byłby uwielbiony.“

„Ale — ale, odpowiedział Jan filozofując — zwierzęta kierują się instynktem i nie mają żadnej zasługi, kiedy czynią dobrze.“

„A ludzie — mówiła matka — nie otrzymaliż od Stwórcy pięknego instynktu miłości? Cóż należy myśleć o tych, którzy nie idą za tym Boskim instynktem i którzy swej woli używają tylko na obrazę Boga? Nie sąż oni podwójnie winni i nie powinniż się rumienić, skoro im te zwierzęta dają z siebie taką lekcyę posłuszeństwa i wierności?“



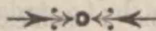


PIERWSZE
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE
ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonotti.



(Ciąg dalszy).

Rozdział XXIX.

Kupno domu p. Pinardiego. — Widoczny dowód Opatrzności Bożej. — Zamknięcie szynku. — Oratoryum wypiera nieprzyjaciół z obozu.

Wynajem domu p. Pinardiego, o czem wyżej mówiliśmy był wielkim ciężarem finansowym, ale zarazem i niemałą wygraną moralną. Jednakże taka dzierżawa nie zapewniła księdzu Bosko potrzebnej swobody i spokoju: należało się lepiej zabezpieczyć. Dawniejsi lokatorzy tego domu nie dawali za wygraną, rozwodząc publicznie głośne skargi na to, iż mieszkanie, które im służyło od wielu lat za miejsce zebrań, wypoczynku i rozrywki, wpadło w ręce nieznośnego kapłana. Łżyli atoli bez miłosierdzia, gdyż powinni byli wyznać, że pierw nie był to dom wypoczynku i rozrywki, ale sekt łotrów, hultajów i rozpustników.

Tymczasem ktoś, chcąc wyrządzić naszemu Oratoryum umyślną przykrość i wejść w posiadanie owego mieszkania, ofiarował p. Pinardiemu opłatę dwa razy większą od tej, jaką płacił ks. Bosko. Właściciel jednak nie chciał łamać danego słowa, tembardziej że jako chrześcijanin, nie tylko był zadowolony z tego, iż jego dom obrócono na zakład dobroczynny, ale owszem wyraził także wielokrotnie życzenie sprzedania swojej własności, gdyby ją ks. Bosko pragnął nabyć. Wszelako gdy przystąpiono do bliższych porozumień, niespodziewana trudność stanęła na przeszkodzie kupna domu. Z nieznanych nam przyczyn, ale prawdopodobnie dlatego że oceniał

bardzo wysoko dom swój, albo potrzebował wiele pieniędzy, p. Pinardi zażądał 80.000 franków za domek, który mógł być wart najwięcej dwadzieściapięć do trzydzieści tysięcy. z powodu tak wygórowanej ceny świątobliwy kapłan zawsze odpowiadał, że nie może się podjąć tak wielkiego kupna i stąd nie okazywał gotowości nabycia tak potrzebnego domu. Na początku 1851 r. P. Bóg pokazał widocznie, że jest Panem serc naszych i że ten dom przeznacza dla nas na Oratoryum. Zobaczmy, w jaki sposób się to stało.

Było to w dzień świąteczny po południu. Chłopcy zebrali się już w kaplicy, ks. Borel miał do nich naukę a ks. Bosko stanął we drzwiach od strony podwórza, aby przeszkodzić nieporządkom i zamieszaniu chłopców, którzy się jeszcze schodzili. W tejto właśnie chwili przybył p. Pinardi, przedstawił się ks. Bosko i żartobliwie ale śmiało zagadnął:

— Wypada, aby ks. Bosko kupił dom odemnie.

— Owszem, ale wypada również, odpowiada ks. Bosko, abyś mi go pan sprzedał za cenę, jaką jest wart, a wtedy zaraz go nabędę.

— Przecież chcę go za taką cenę sprzedać.

— Więc za ile?

— Ile poprzednio powiedziałem: ośmdziesiąt tysięcy franków.

— Nie mogę się zgodzić.

— Dlaczego?

— Bo cena jest wygórowana.

— Proszę wyznaczyć cenę, jaką ksiądz dobrodziej zechce.

— A dasz mi pan dom za cenę jego wartości?

— Daję słowo honoru, że go sprzedam.

— Proszę mi podać rękę, a potem podam cenę.

— Więc jaką?

— Kilka miesięcy temu, mówił ks. Bosko, na moją prośbę dom ten został oceniony przez pewnego przyjaciela pańskiego i mojego. Otóż zapewniono mnie, że pan winieneś go odstąpić za 26-28 tysięcy franków; ja zaś dla prędszego załatwienia sprawy ofiaruję 30 tysięcy.

— Proszę dodać jeszcze szpilkę za 500 franków dla mojej żony.

— I ten podarunek dodam.

— Czy ksiądz zapłaci gotówką?

— Owszem, zapłacę gotówką.

— Kiedy spiszemy kontrakt?

— Kiedy pan zechcesz.

— Od jutra za dwa tygodnie i to z jednorazową wypłatą.

— Dobrze.

— Kto się cofnie zapłaci 100.000 franków kary.

— Niechże tak będzie, dokończył ks. Bosko, i w przeciągu pięciu minut sprawa była całkowicie załatwiona.

Ale gdzie znaleść trzydzieści tysięcy franków i to w czasie tak krótkim? Ks. Bosko i matka jego już byli wszystko sprzedali na rzecz utrzymania chłopców i w domu swoim nie mieli już żadnych funduszów. Ale P. Bóg zawsze pamięta o potrzebach sług swoich: On rozpoczął dzieło i on je prowadził do rozkwitu, do celu. Oto nowy widoczny dowód Opatrzności Boskiej nad naszem Oratoryum.

Zaledwie oddalił się p. Pinardi, przybył do Oratoryum ks. Józef Cafasso, jeden z najżyczliwszych przyjaciół ks. Bosko i nasz dobroczyńca. Była to rzeczywiście niezwykła rzecz, że ten czcigodny kapłan w dzień świąteczny przyszedł do Oratoryum, miał bowiem wiele pracy w kościele św. Franciszka Serafickiego, którego był rektorem. Zbliżył się do ks. Bosko, mówiąc:

— Przyszedłem z wiadomością, która księdzu nie sprawi przykrości. Pewna osoba pobożna (hrabina Casazza-Riccardi) poleciła mi przynieść tu dziesięć tysięcy franków, które ksiądz obróci na cel Bogu miły.

— *Deo gratias!* odrzekł ks. Bosko. Jakoś mi dzisiaj szczęście dopisuje. Tu mu opowiedział dopiero co umówione kupno domu p. Pinardiego i jak sobie o tej chwili mózg suszył na zdobycie odpowiedniej kwoty pieniężnej. Dwaj kapłani nie mogli nie widzieć palca Bożego w tej sprawie i pełni byli otuchy w dalsze powodzenie rozpoczętego dzieła.

Ale dziesięć to nie trzydzieści, trzeba było jeszcze szukać dwadzieścia tysięcy. I tutaj Pan Bóg przyszedł na pomoc. Nazajutrz przybył do Turynu pewien Ojciec Rosminianin, przywożąc ze sobą pieniędzy klasztornych dwadzieścia tysięcy franków, w celu umieszczenia ich w banku, i dlatego przyszedł do znajomego sobie ks. Bosko, aby zasięgnąć jego rady co do lokacyi tych pieniędzy.

— Pan Bóg mi tu Ojca zesłał, rzekł ks. Bosko, i opowiedział mu swoje zakłopotanie, a wkońcu go prosił o wypożyczenie tej kwoty na kupno domu. Zakonnik ani na chwilę się

nie zawahał, zdając się zupełnie na uczynioną propozycyę. W ten sposób w przeciągu niecałych dwudziestuczterech godzin potrzebna suma 30.000 franków znajdowała się całkowicie w rękach ks. Bosko. Co prawda, potrzeba było jeszcze trzech tysięcy na rozmaite koszta poboczne, ale ten brak wypełnił p. Józef Cotta, w którego biurze spisano akt kupna dnia 19 lutego 1851 r.

Jak widzimy, ks. Bosko w tej sprawie miał nowy dowód dobroci Bożej dla swojego zakładu; nic więc dziwnego, że nabrał jeszcze większej ufności i przeświadczenia, iż Opatrzność nigdy go w przyszłości nie opuści. A ja myślę, że ta jego ufność nieograniczona i to przekonanie, które go prawie w przeciągu pięćdziesięciu lat nigdy nie zawiodły, były jedną z głównych przyczyn wielkiej działalności ks. Bosko. Świat chciałby go może nazwać człowiekiem zuchwałym, ale patrząc na pomyślne skutki wszystkich jego zamiarów, zmuszony jest wyznać, że był to *mąż opatrznościowy*, i tak jest w samej rzeczy.

Inna sprawa niemałej wagi miała się spełnić jeszcze w tymże roku na korzyść naszego Oratoryum, t. j. zniesienie szynku w domu pani Bellezia, który wznosił się kilka kroków od naszego podwórza i był od tegoż oddzielony niewielkim murem. Szynk ten nazywano oberżą *Ogrodniczki* (Giardiniera). W dni świąteczne zbierali się tam szulerzy, pijacy i tym podobne indywidua. Od rana do nocy grano kolejno na harmonice, fujarce, klarnecie, gitarze, skrzypcach, basie i na innych instrumentach, na których po cuchnących domach zajezdnych i na śmieciskach pewnych obór, niektórzy muzykanci wygrywają melodye pieśni sprośnych i bezbożnych. Owszem niekiedy w godzinach popołudniowych zbierali się razem, by grać koncertowo, a tym sposobem spowodowana muzyka, krzyki i wrzawa zagłuszały naszych śpiewaków w kaplicy. Byli tu żywo przedstawieni synowie świata z jednej strony i synowie światłości z drugiej, miasto szatańskie i miasto Boże. Aby złagodzić przykre wrażenie, jakie mogło się zakraść do umysłu chłopców z powodu takiego nieporządku, ks. Bosko często przypominał im słowa ewangelii: *Świat się będzie weselił, a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci.* Niekiedy udawał się także do owego szynku i prosił wodzirejów hulatyki, aby zaniechali swojej zabawy przynajmniej na czas nabożeństwa, a prosił tak przekonywująco, że ci ludzie, przyzwyczajeni tylko do zaspokajania wszystkich swych popędów, najczęściej go słuchali i ustępowali jego roztropnej prośbie.

Mimo to trzeba było złemu gruntownie zaradzić przez usunięcie przyczyny, do czego ks. Bosko wziął się bardzo gorliwie. Najprzód starał się ten dom kupić; ponieważ jednak właścicielka nie chciała go sprzedać, nie można było dojść do pożądanego rezultatu. Wtedy pragnął dom nająć, ale znowu dzierżawczyni, która szynk utrzymywała, żądała bajecznego odszkodowania. Ks. Bosko, ufając zawsze w pomoc Bożą i miłosierdzie dobroczyńców, nie przeląkł się wielkich trudności i wydatków. Nabył od dzierżawczyni cały szynk, płacąc tenutę dzierżawną, kupując wszystkie meble i sprzęty pokojowe, szynkowe, kuchenne i t. d. Płacił za wszystko bardzo drogo, ale stał się panem całego zajazdu, któremu dał inne przeznaczenie, odnajmując go ludziom cichym i bogobojnym.

Tym sposobem obalił drugą twierdzę szatańską, która się wznosiła obok Domu Pańskiego, i zatamował złe, które się stąd rozchodziło, a Oratoryum zanuciło pieśń zwycięstwa nad obozem nieprzyjacielskim. Dzisiaj na tem miejscu, gdzie dawniej P. Boga obrażano, wznoszą się dwie świątynie: jedna na cześć św. Franciszka Salezego a druga na cześć Matki Boskiej, Wspomożycielki Wiernych, a z tych świątyń wznoszą się ustawicznie do nieba modlitwy i pieśni.

Rozdział XXX.

Projekt budowy kościoła św. Franciszka Salezego. — Proroctwo czy prognostyk. — Poświęcenie i założenie kamienia węgielnego. — Mowa ojca Barrery. — Pismo okólne Biskupa z Bielli. — Pierwsza loterya fantowa. — Wsparcie królewskie. — Pierwsze dziesięciolecie Oratoryum.

Gdyśmy się już uwolnili od przykrości moralnych ze strony lokatorów domu p. Pinardi'ego przez kupno tego budynku i zburzyli przyległą oberżę im. *Giardiniera*, należało myśleć o budowie kościoła, odpowiadającego lepiej chwale Bożej i ciągle wzrastającym potrzebom natury miejscowej. Dawny kościołek, chociaż się nieco przez dodanie kilku stancyi powiększył, był za ciasny i niekształtny. Ponieważ schodziło się doń po dwóch sto-

pniach, stąd w zimie i w czasie deszczów był wilgotny i często zalany wodą; w lecie zaś z powodu jego nizkości i słabej wentylacyi powstawało w nim takie gorąco, taki zaduch, że często trafiały się omdlenia i rzadką było rzeczą, aby w święto nie wynoszono z niego chłopca pozbawionego zmysłów i jakby zaduszonego. Było zatem nietylko pożyteczną, ale i nieodzowną rzeczą budować dom Boży odpowiedniejszy, obszerniejszy i zdrowszy.

Ks. Bosko zaledwie przed kilku dniami był aktem notaryalnem kupił i zapłacił dom p. Pinardiego, gdy pewnego wieczora tak się odezwał do matki swojej:

— Mam zamiar wznieść obecnie piękny kościół ku czci św. Franciszka Salezego.

— Dobrze, ale skąd weźmiesz pieniędzy? zapytała Małgorzata. Wiesz, że z własnego majątku już nic nie posiadamy: wszystko sprzedaliśmy na wikt i ubranie biednych chłopców. Zanim się podejmiesz budowy kościoła, powinieneś to wprzód dobrze rozważyć i poradzić się Pana Boga.

— Tak właśnie zrobimy. Gdybyś, matko, miała pieniądze, czybyś mi ich nie dała?

— Możesz być pewny, żebym to uczyniła z największą przyjemnością.

— Dobrze zawnioskował syn. Ponieważ Pan Bóg jest lepszy i wspaniałomyślniejszy od ciebie, moja matko, i ma dosyć pieniędzy dla wszystkich ludzi, spodziewam się że mi w swoim czasie udzieli odpowiedniego funduszu, gdyż tu idzie o dzieło, zmierzające ku większej chwale Jego.

W tem przekonaniu pewnego dnia zawezwał do siebie architekta Blachiera, zaprowadził go na miejsce przyszłej świątyni i prosił go o narysowanie stosownego planu; a że prawie wówczas miał u siebie niejakiego p. Fryderyka Bocca, zapytał go, czyby nie zechciał podjąć się tej budowy.

— Najchętniej, odpowiedział tenże.

— Uprzedzam jednak pana, że czasem może mi zabraknąć pieniędzy na bieżące wydatki.

— Wtedy będziemy się powolni posuwalj z robotą.

— Nie, chciałbym, abyśmy jak najprędzej szli naprzód tak, iżby kościół w przeciągu jednego roku był skończony.

— Owszem, pospieszymy się, odparł przedsiębiorca.

— Proszę więc rozpocząć budowę, zakończył ks. Bosko. Trochę funduszu już posiadam, resztę da nam Opatrzność Boża w swoim czasie.

Na wiosnę 1851 roku zaczęto kopać doły do budowy fundamentów a z początkiem lata kłaść pierwsze kamienie pod nowy kościół.

Kilku chłopców opowiedziało mi fakt, który pragnę tu zapisać bez wypowiedzenia swojego zdania co do jego natury.

W r. 1856 przy urządzeniu kaplicy w domu Pinardiego, trzeba było, jak to już nadmieniłem, skopać ziemię na jeden metr, aby głową nie uderzyć o sufit. Otrzymaną stąd ziemię zgromadzono w stronie północno-zachodniej od domu; służyła ona za miejsce zabawy dla dzieci, które na ten nasyp wskakiwały i z niego schodziły jak żołnierze, zdobywający albo tracący jaką pozycyę strategiczną. Otóż, w pewne święto w lecie tegoż roku i ks. Bosko wszedł na ten pagórek a. będąc otoczony przez wielu chłopców, kazał śpiewać następujące wiersze na nieznaną dotąd melodyę:

Niech będzie zawsze pochwalone
Imię Jezusa i Maryi!
Niech będzie zawsze pochwalone
Imię Jezusa, Słowa wcielonego!

Wtem nagle każe im zamilknąć i odzywa się w te słowa: „Moi kochani synaczkowie, posłuchajcie myśli mojej, która mi teraz przychodzi do głowy: *w tem samem miejscu, w którem się obecnie znajdujemy, kiedyś stanie ołtarz kościelny, przy którym wam będą rozdawali komunię św. i przy którem wy będziecie wyśpiewywali chwałę Pańską.*“ Po pięciu latach rozpoczęto budowę kościoła i według planu architekta wielki ołtarz wypadł właśnie w miejscu, wskazanem przez ks. Bosko.

Tymczasem pracowano pospiesznie tak, że po kilku miesiącach prowadzonych robót już 21 lipca można było uroczyście poświęcić i założyć kamień węgielny. Gdy z górą sześćset chłopców, uczęszczających do Oratoryum rozniosło tę wiadomość po mieście, we wspomnianym dniu tak wielka liczba ludu zebrała się na miejscu, jakiej dotąd tamże nigdy nie widziano.

Uroczystości tej byłby zapewne dopełnił Mgr. L. Fransoni, arcybiskup turyński, który tak bardzo kochał ks. Bosko i jego Oratoryum; z powodu jednak przewrotności ludzkiej, o czem już wyżej wspomniałem, nieustraszony Pasterz, już od sierpnia roku ubiegłego (1850), był zmuszony przebywać w Lugdunie jako

wygnaniec. W zastępstwie Arcybiskupa ks. kanonik Ab. Moreno, ekonom generalny, poświęcił kamień węgielny a założył go na przygotowanem miejscu p. Józef Cotta, wielki przyjaciel ubogich i dobroczyńca zakładu ks. Bosko. Spisano także odpowiedni protokół, którego jeden egzemplarz łącznie z monetami, medalami i innemi pamiątkami umieszczono w poświęconym kamieniu.

O. Barrera, kapłan ze zgromadzenia braci nauki chrześcijańskiej, na widok wielkiej liczby otaczających go zewsząd wiernych, kapłanów, patrycyuszów i matron turyńskich, wszedł na wzniesienie i wypowiedział piękną mowę. Rozpoczął on swoje przemówienie temi słowy: „Panowie, ten kamień, który przed chwilą był poświęcony i założony we fundamentach przyszłego kościoła, ma podwójne znaczenie. Oznacza on ziarnko gorczyczne, które wyrośnie na mistyczne drzewo, około którego wielu chłopców, jak ptaszęta niebieskie, szukać będzie schronienia; znaczy także, iż Oratoryum, ufundowane na wierze i miłości Jezusa Chrystusa, stanie się opoką niewzruszoną, przeciwko której napróżno walczyć będą nieprzyjaciele wiary i duchy ciemności.“ Mowca dowodził następnie swojego twierdzenia z taką wymową, że słuchacze byli zachwyceni jego słowami; szczególniej zaś jedno porównanie i modlitwa zapisały im się niezatarcie w pamięci. Kapłan porównał czasy ówczesne z huraganem który grozi spustoszeniem i ruiną miastom i wioskom. „Panowie, co widzimy w tej walce niebezpiecznej? — pytał znakomity mowca. Widzimy jak każdy żyjący ze strachem i drżeniem szuka ocalenia. Ludzie chronią się w domach, zwierzęta dzikie chowają się w legowiskach, ptaki niebieskie uciekają do gniazd, szczęśliwe że je uwiły na drzewach wysokich i bezpiecznych. Czasy obecne są złe, a przedewszystkiem złe dla biednej młodzieży. Oto tu jest kościół, tu jest drzewo, które głęboko zapuści korzenie swoje i nie upadnie w czasie wichrów. W cieniu tego drzewa, pod skrzydłami tego świętego przybytku tysiące chłopców znajdzie schronienie i obronę przeciwko błędom, rozsiewanym przez ludzi bezbożnych i pisarzy przedajnych; schronienie i obronę przeciwko zdaniom i naukom, wykrzywiającym pojęcie cnoty i moralności; schronienie i obronę przeciwko pożądliwościom gorących namiętności młodzieńczych, budzonych złym przykładem i zgorszeniem innych ludzi. Zdaje mi się, jakobym widział, że gromady chłopców, na podobieństwo przestraszonych gołębi, zbiegają się tu zewsząd i w tem miejscu bezpiecznem łączą się nietylko w tym celu, aby mieć schronienie i obronę, ale także aby znaleźć pokarm, żywność dla życia doczesnego i wiecznego. Panowie, którzy mię słuchacie, sprawcie radą i datkiem, aby to drzewo wyrosło wkrótce na olbrzyma, rozłożyło swe konary nad całem miastem i zbierało przy sobie biednych chłopców, którzy z ujmą dla religii i moralności wałęsają się po ulicach i placach w dni świąteczne, znajdują się w ciągłem niebezpieczeństwie, ściągają niesławę na siebie samych, okrywają hańbą swe rodziny a zamieszanie i spustoszenie wprowadzają do porządku społecznego. Panowie, nie możecie dziś użyć pożyteczniej waszych dostatków, nie możecie ich wyłożyć na lepsze cele, jak na ten instytut, zmierzający ku dobru Kościoła i państwa; od młodzieży dobrze albo źle wychowanej, zależy życie albo śmierć rodzin, państw i całego świata.“

Wreszcie kaznodzieja zwrócił się w mowie swojej do Pana Jezusa i zaniósł doń tak piękną modlitwę, że z wielu óczu łzy popłynęły. „Ty zaś, Boże mój, mówił on, i Zbawicielu nasz Jezu Chryste, przedstawiony pod symbolem założonego kamienia, racz mocą swej ręki wszechmocnej zaopiekować się dziełem tego Oratoryum. Jeżeli go bezbożni przeklinać będą, Ty go błogosław; jeżeli nań napadną, Ty go broń; jeżeli go będą nienawidzieć, Ty go strzeż jako źrenicę oka swego! Oratoryum ma wszelkie prawo do Twej opieki, ponieważ ma za cel gromadzić, uczyć i wychowywać dziatki, które w życiu Twojem śmiertelnem były zawsze rozkoszą serca Twego, są i będą zawsze przedmiotem Twojej miłości, jako wybrany kwiat w ogrodzie Twojego Kościoła! Tak, pod tarczą Twojej osłony niech zawsze istnieje ten instytut; owszem, nasienie jego za działaniem Twej łaski niech się wszędzie krzewi; niechaj wprzód zdruzgocą się kolumny, podpierające firmament niebieski, nim on przestanie istnieć na ziemi!“ Słowa wymownego kaznodziei zrobiły wielkie wrażenie. Aż do dnia dzisiejszego zdaje się, że zakonnik ten mówił z natchnienia Bożego, przepowiadał jako prorok, gdyż słowa dotąd się jasno sprawdzały i sprawdzają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NEKROLOG

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Adreasikowa Klara, — *Brzeziny*, Galicya.
Badura Stanisław, — *Sadzawka*, Górny Śląsk.
X. Beneszek Rudolf, — *Łowce*, Galicya.
Biela Wincenty, — *Lutkowice*, Galicya.
Błaut Regina, — *Oczków*, Galicya.
Bławut Jan, — *Oczków*, Galicya.
Bochenek Franciszek, — *Roszowice*, Górny Śląsk.
Brandys, — *Spytkowice*, Galicya.
X. Burzański Michał, — *Złoczów*, Galicya.
Bywalec M., — *Ławki*, Górny Śląsk.
Chełmicka Marya, — *Żydowo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Czechowski Jan, — *Kraków*, Galicya.
Czekaj Franciszek, — *Poznań*.
X. Dobrzański Antoni — *Zdynia*, Galicya.
Dybalska Katarzyna, — *Sucha*, Galicya.
X. Floryan Stanisław, — *Staromieście*, Galicya.
Garczarczyk M., — *Ostałowa*, Galicya.
Geredyńska Antonina, — *Leńcze*.
Gołąbek Franciszek, — *Kornice*, Górny Śląsk.
Gólcz Julianna, — *Gościeszynek*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Glenz Józef — *Pszów*, Górny Śląsk.
Grochol J., — *Maszkienice*, Galicya.
Grudniczka Maryanna, — *Odporyszów*, Galicya.
X. Hebda Karol, — *Chrzanów*, Galicya.
Hildebrandt Alexy, — *Karf*, Górny Śląsk.
X. Janer Cyryl, proboszcz, honorowy kanonik kapituły lwowskiej, dziekan, honorowy obywatel miasta Tarnopola, — *Tarnopol*, Galicya.
Iwanek Jadwiga, — *Oczków*, Galicya.
Karbowiak Tomasz, — *Brody*, Galicya.
X. Karnecki Edward Karol, — *Waszkowce*, Bukowina.
X. Klos Ludwik, — *Lwów*, Galicya.
X. Klusik Karol, — *Lwów*, Galicya.
Konrad Ludwik, — *Deszowice*, Górny Śląsk.
Kopacz Franciszek, — *Ruda*, Górny Śląsk.
X. Kotecki Edward, — *Borek Stary*, Galicya.
Kowalczyk Maryanna, — *Małe Wysocko*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Krajuszek Jakób, — *Siemianowice*, Górny Śląsk.
Krąkowski A., — *Chwaliszewo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Krok Andrzej, — *Grybów*, Galicya.
Laska Teofila, — *Wojsk*, Prusy Zachodnie.
X. Łukasik Andrzej, — *Łukawiec*, Galicya.
Łukaszek Klemens, — *Lipiny*, Górny Śląsk.
Maciejewski Marcin, — *Wierzbno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Maśliński W., — *Chwaliszewo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Matuszek Joanna, — *Lubecko*, Górny Śląsk.
Munich Kasper, — *Chorzów*, Górny Śląsk.
Moczyrak Katarzyna, — *Lwów*, Galicya.
X. Nagrodkiewicz Antoni, — *Tamanowice*, Galicya.
Namysło Cecylia, — *Ruda*, Górny Śląsk.
Pastucha Petronela, — *Siedlików*, Wielkie Księstwo Poznańskie.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1902.

PROŚBA DO OJCA ŚW. PAPIEŻA PIUSA IX.

Ojcze Święty,

Od czasu, kiedy Świątobliwość Wasza raczyła ostatecznie zatwierdzić maluczkie *Zgromadzenie św. Franciszka Salezego*, liczba jego członków znacznie się pomnożyła i również pole, pracy jemu powierzonej, rozszerzyło się odpowiednio. Zaczem i potrzeby nasze także się wzmogły, a z rosnącemi potrzebami wzrastał niemniej i zastęp gorliwych kapłanów i osób świeckich, którzy się oświadczyli z gotowością wspierania nas w pracy około zbawienia dusz ludzkich. Atoli ci wszyscy, uznając potrzebę jednolitego a trwałego działania, domagali się pewnych stałych przepisów postępowania, opartych na niewzruszonych podstawach naszej religii. Ojcze Święty, oto w tym celu ułożyłem ustawy dla tak zwanych **Pomocników salezyańskich**, które mają za zadanie wezwać ludzi dobrej woli, żyjących w świecie, ażeby pomagali w pracy na niwie, do której powołał Pan *Pobożne Towarzystwo salezyańskie.*

Świątobliwość Wasza raczyła ustawy one po dojrzałem zbadaniu pobłogosławić i je łaskawie wiernym zalecić. Stąd wielu Biskupów wprowadziło je do swoich dyecezyi, a obecnie listami swymi pochwalnymi skłonili mnie, abym błagał Waszą Świątobliwość, iżby ze szczególniejszej swej łaskawości raczyła otworzyć dla nich skarby świętych Odpustów. W ten sposób będzie mógł każdy być pewnym, że Świątobliwość Wasza kierunek działania i prace w *kaplicach świątecznych* pochwala i błogosławi, a Pomocnicy salezyańscy doznają ukrzepienia zbawiennego ze strony Religii, dla której z gotowością ponoszą ofiary i trudy.

Błagamy przeto Świątobliwość Waszą, ażeby *zakonnikom Salezyanom* i ich *Pomocnikom* łaskawie raczyła udzielić następujących odpustów:

1. Odpust zupełny w godzinę śmierci, jeżeli ze swego życia Bogu złożą ofiarę i z uległością przyjmą ten rodzaj śmierci, jaki się Jemu zesłać będzie podobało.

2. Odpusty i łaski duchowne, jakich dostępują Tercyarze zakonu św. Franciszka z Asyżu.

3. Ażeby odpustów, przywiązanych do kościołów i świąt św. Franciszka z Asyżu, dostępować można w święta św. Franciszka Salezego i w kościołach *Zgromadzenia salezyańskiego.*

Pełen ufności, że Świątobliwość Wasza dobrotliwie udzieli nam łask, o jakie Ją prosimy, błagam pokornie o osobne błogosławieństwo Apostolskie dla wszystkich Pomocników i Dobrodziejów Zgromadzenia, i składam wyraz najgłębszej czci i synowskiego uszanowania, z jakiem pozostaję

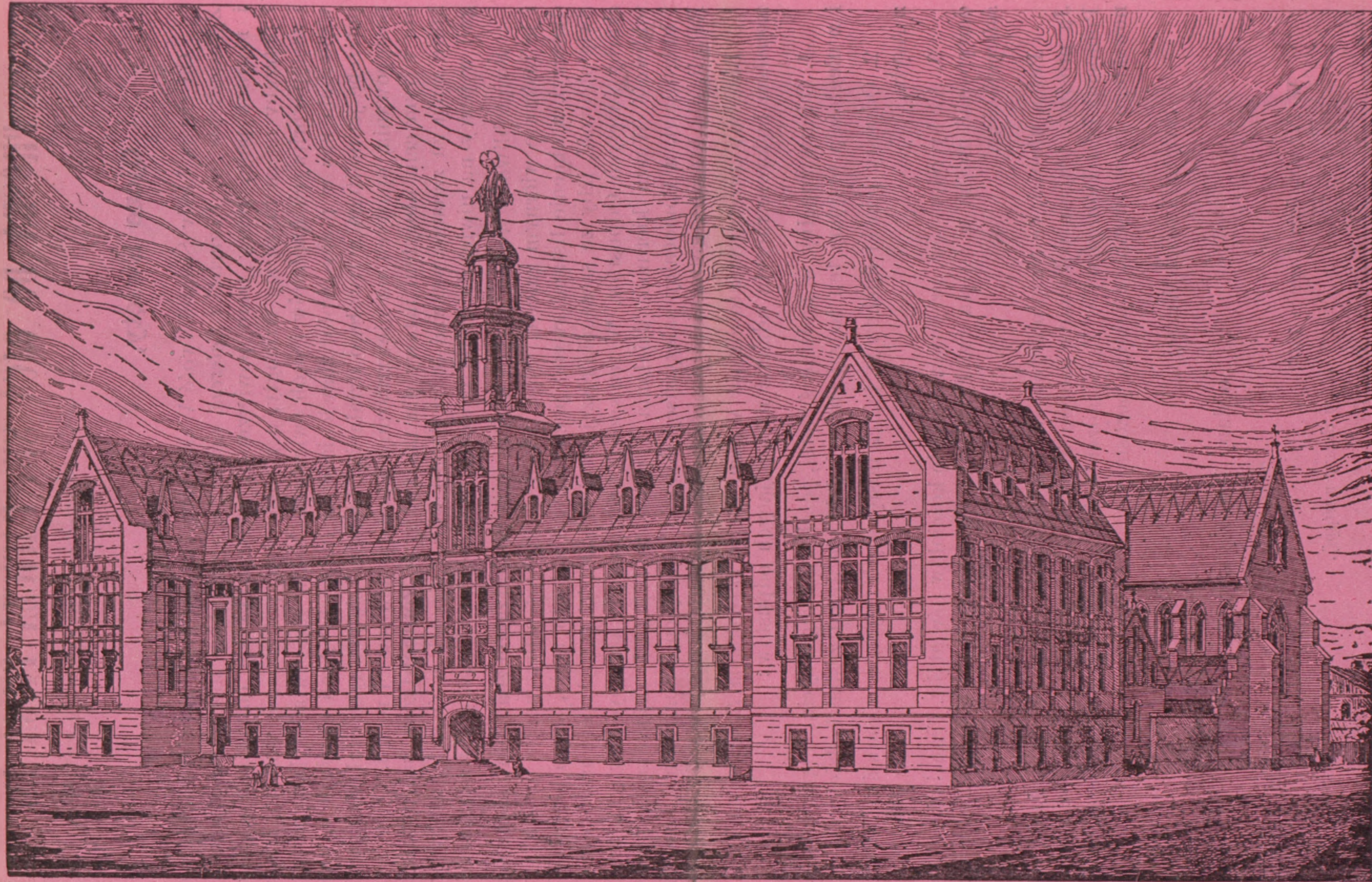
Świątobliwości Waszej

oddany i wdzięczny syn

ksiądz JAN BOSKO.

W Turynie, dnia 4 marca 1876.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



Zakład X. BOSKO w Oświęcimiu